

Lódź  tygodnik społeczno-kulturalny

# Odgłosy

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

NUMER 18 (1414) XXVIII

4 MAJA 1985 ROKU

CENA 15 ZŁ

- **Konstytucja moralnej odnowy**
- **Persona non gratis**
- **Myślą, sercem i uczynkiem...**
- **Pornografia**  
— tytuł chwytliwy

## Pomnik Rewolucji na miejscu straceń w Lasku Konstantynowskim

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

Tam, gdzie płomień zastygłszy pozostaje skałą,  
Dymiącem i skłębionym wiecznym kamieniem,  
Gnali przed rond i... Plił Pałł Zakopł — by się stała  
Przejsię pięści wzniesionych w bezruch, słów w  
milczeniu.

Myśleli: Ciało strąca w rów, więc strąca myśli,  
Myśleli: Bunt się gniece, jak ciasto się gniece...  
Ale bunt to nie mąka — oni niezawisli...  
I syn, i wnuk ich w marszu widzi wciąż na przedzie.

Bo syn i wnuk pamięta Las Konstantynowski,  
Bo ogień nim skamieniał, bił się nieprzerwanie —  
i czy rozkwit materii, czy pchnął palec boży —  
Syn i wnuk to kamienie rzucane na szaniec.

1985

Maj, czerwiec 1905 roku w Łodzi (1)

## „...Nie garstka to tylko zuchwalców...”

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

### 1. W KILKU ZDANIACH WSTĘPU

przypominajmy sobie przebieg wydarzeń w Łodzi na początku 1905 roku. Już rok 1904 był niespokojny. Trwała wojna japońsko-rosyjska. Rosja ponosiła klęskę na Dalekim Wschodzie. Wojna odbiła się ujemnie na gospodarce Imperium Rosyjskiego, a w tym i Królestwa Polskiego. Mocno odczuł to przede wszystkim łódzki przemysł bawełniany. Rosta bezrobocie, fabryki pracowały w skróconym czasie, kurczyły się rynki zbytu.

17 stycznia 1905 roku wybuchł w Łodzi strajk w fabryce Karola Steinerta. Strajkiem kierowała łódzka organizacja SDKPiL. Przebiegiem strajku interesowano się w innych fabrykach.

22 stycznia 1905 roku doszło do masakry pochodu robotniczego przed Pałacem Zimowym w Petersburgu. Była to „Krwawa niedziela”. Wiadomość o tym dotarła 27 stycznia 1905 roku. Wybuchł strajk powszechny. Zamarło życie w mieście. Wyśunięto żądania podniesienia płacy i skrócenia czasu pracy oraz objęcia rodzin robotniczych lecznictwem, płacenia za czas choroby i rozwoju oświaty dla dzieci robotniczych, a także zaniechania różnych praktyk poniżających robotniczą godność. Fabrykanci początkowo mieli zamiar spełnić te żądania, ale później się z nich wycofali. Łódź obsadziło wojsko. Doszło do starć robotników z policją i wojskiem, byli ranni i zabici. Walka toczyła się również o

zapłatę za dni strajku. W lutym 1905 roku strajk powoli wygasł. Zakończył się 23 lutego. Ale w Łodzi było nadal niespokojnie. Do walki o swoje prawa przystąpili rzemieślnicy, subiekt kupiecki, praktykanci fryzjerscy i inni.

Ale oto zbliżał się 1 Maja — robotnicze święto. Ruszyły na miasto watahy szpiclów. Mieliby dokładnie dowiedzieć się, jak do obchodów 1 Maja przygotowują się łódzcy robotnicy. Wywiad pułkownika W. N. Szewiakowa zebrał interesujące materiały.

### 2. POLICMAJSTER ŁODZI PISZE RAPORT

Harion Chrzanowski — łódzki policmajster zastał więc do pisania raportu. Było to 12 kwietnia 1905 roku. Z zebranych informacji wynikało niezbitnie, że w Łodzi powstał „perfidny plan”.

„Do guberni tutejszego kraju pisał Harion Chrzanowski w tym raporcie — zamierza się sprowadzić z zagranicy ogromną ilość rewolwerów i bomb za pieniądze oszczędzone w skutek postanowienia nie pijać wódki, nie palenia tytoniu, nie noszenia przez robotnice kapeluszy i grzebyków, ubierania się skromnie i w ogóle powstrzymywania się od wszelkich zbytków”.

Wywiad pułkownika W. N. Szewiakowa zdobył pętarde jakże też sprowadzili do Łodzi ro-





# Maj, czerwiec 1905 roku w Łodzi (1)

ze str. 1

botnicy. Oczywiście zajmowały się tym robotnicze organizacje. One były głównie penetrowane przez tajniaków policji carskiej.

Ale po co to wszystko gromadzono?

Otóż — jak donosił w swoim raporcie Harion Chrzanowski — przez częste używanie petard chciano przycisnąć ludzi do wybuchów, żeby po prostu na nie nie reagowali. A jak się już ludzie do tego przyzwyczajają, to wówczas wysadzonych zostanie w Łodzi wiele ważnych budynków, w których mieszczą się carskie urzędy.

Referując ten plan policmajster Harion Chrzanowski sugerował, iż niezbędnie w Łodzi potrzeba wzmocnić garnizon wojskowy. Na początku marca 1905 roku wycyfano bowiem z Łodzi część wojska. Myśl tę podjął gubernator piotrkowski, A. Arcimowicz, który zwrócił się do generała gubernatora warszawskiego, K. Maksymowicza o przysłanie do Łodzi 2 batalionów piechoty i 4 sotni kozaków lub 4 szwadronów kawalerii.

Wywiad pułkownika W. N. Szewiakowa doniósł też, że na 1 maja 1905 roku szykuje się w Łodzi strajk powszechny. Ustalono następnie, że robotnicze demonstracje pierwszomajowe odbędą się między godziną 11 a 18 w kilku miejscach: na Południowej (Rewolucji 1905 roku) między Targową a Widzewską (Jana Kilińskiego), na Nowym Rynku (Plac Wolności), na Górnym Rynku (Plac Władysława Reymonta) i na Aleksandryjskiej (Bojowników Getta Warszawskiego). Oczywiście, że policja i wojsko przygotowały się, aby w tych miejscach, gdzie wiadomo było, że zbiorą się demonstranci, nie dopuścić do żadnych manifestacji.

## 3. POLICJA CHWYCIŁA SIĘ STAREGO SPOSOBU

Wymyślił ten sposób już starożytni Rzymianie: „divide et impera”, co tłumaczy się jako: dziel i rządź, siej niezgodę, aby móc łatwiej rządzić, a co jest z powodzeniem do dziś stosowane. Na początku strajku styczniowego w Łodzi w 1905 roku próbowano skłócić polskich robotników z Żydami, próbowano nakłaniać do pogromu Żydów, ale chwyt ten nie udał się. Robotnicy polscy nie dali się na to złapać. Pobili tylko antyżydowskich agitatorów, którzy okazali się przebranymi policjantami.

Tym razem wymyślono zupełnie coś innego.

Harion Chrzanowski donosił swoim zwierzchnościom, że robotnicy szykują nie tylko wysadzenie w powietrze budynków mieszczących carskie urzędy, ale też planują w pierwszy dzień Wielkiejnocy wysadzenie kościoła ewangelickiego i domu pastora w Pabianicach. W ogóle Harion Chrzanowski sugerował M. Arcimowiczowi, że łódzcy robotnicy są nastawieni antyniemiecko, że chcą nastraszyć bogatych Niemców, aby ci pociękali, zostawili swoje bogactwo, a robotnicy to następnie spokojnie rozgrabia.

Trzeba tu — uprzedzając nieco wydarzenia — powiedzieć wyraźnie, że łódzcy robotnicy w burzliwych dniach maja i czerwca 1905 roku zrobili wszystko, aby nie doszło do żadnych rabunków, napadów, grabieży, aby utrzymać porządek i dyscyplinę. Nie udało się tego w tym czasie utrzymać na przykład w Warszawie.

Policji udało się wywołać nastroje antyniemieckie, ale... wśród Niemców. Po prostu udało się ich przestraszyć. Postanowili oni niespokojny czas przeczekać u swych znajomych, bądź u rodzin w Cesarstwie Niemieckim. Na przykład Niemiecki Teatr „Thalia”, który kończył sezon w połowie maja, tym razem zakończył go w połowie kwietnia.

19 kwietnia 1905 roku odbyła się narada naczelników powiatów i policmajstrów guberni piotrkowskiej, na której gubernator M. Arcimowicz poinformował, że na początku kwietnia 1905 roku wyjechało z Łodzi dwa razy więcej Niemców, niż na początku kwietnia 1904 roku.

Niepokój, jaki udało się policji carskiej zasiał w społeczności niemieckiej w Łodzi przeniósł również do innych grup cudzoziemców. W połowie kwietnia 1905 roku wybuchł strajk w fabryce Towarzystwa Akcyjnego Łódzkiej Niciarnianej Manufaktur. Wówczas to konsul generalny Wielkiej Brytanii zwrócił się do generała gubernatora warszawskiego K. Maksymowicza z prośbą „o zapewnienie osobistego i majątkowego bezpieczeństwa 5 angielskim poddanym z ich rodzinami”. Z taką samą prośbą zwrócił się już w marcu 1905 roku konsul generalny Cesarstwa Niemieckiego A. Rechenberg, a 10 kwietnia 1905 roku przesłał do gubernatora piotrkowskiego M. Arcimowicza depeszę następującej treści:

„Obywatele niemieccy zamieszkujący w guberni piotrkowskiej, a zwłaszcza w m. Łodzi, ostatnio, w skutek krążących pogłosek o groźnych wielkich demonstracjach i zaburzeniach skierowanych głównie przeciwko cudzoziemcom, zwracali się do tutejszego generalnego konsula z prośbą o zatroszczenie się o bezpieczeństwo ich osób i majątków.

Wobec możliwych w przyszłości reklamacji nie uważam za zbędne podać niniejsze do wiadomości Waszej Ekszellencji.

Z prośbą o ochronę obywateli (wówczas pisano się „poddanych”) Francji i Austro-Węgier zwrócił się generalni konsulowie tych państw — G. B. d'Anglade i S. A. von Ugron. M. Arcimowicz powiadomił Warszawę, że wydał niezbędne rozkazy w sprawie ochrony cudzoziemców i ich mienia, ale nie omieszkał też poinformować, że spełnienie tego zadania będzie bardzo trudne, bowiem w Łodzi mieszkało wówczas około 9 tysięcy cudzoziemców mających obce obywatelstwa.

Do żadnych rozruchów na tle narodowościowym w Łodzi wówczas nie doszło. Strajkowali i demonstrowali zgodnie obok siebie robotnicy polscy, niemieccy i żydowscy.

## 4. PRZYGOTOWYWAŁY SIĘ OBIE STRONY

do pierwszomajowych obchodów. Policja carska nakazała wzmocnienie czujności na granicy, a już szczególnie z Galicją, skąd przywożono do Kró-

nież rosyjscy robotnicy wcieleni do wojska bardzo często nie przejawiali większej ochoty walki z polskimi robotnikami. Policja posadzała wojsko o bojkotowanie jej poleceń. Z tego powodu — w późniejszym czasie — przybył do Łodzi oficer do specjalnych poruczeń, który miał zbadać zasadność takich zarzutów.

Teraz, gdy zbliżał się 1 maja 1905 roku dwie organizacje robotnicze: Polska Partia Socjalistyczna i Partia Socjalistów-Rewolucjonistów wydały wspólną odezwę do carskich żołnierzy stacjonujących w Królestwie Polskim. W odezwie tej pisano:

„Dnia 1 Maja robotnicy całego świata obchodzą swoje święto robotnicze...

Wam, żołnierzom, rozkazuję do nich strzelać!...

Dotwódcą mówił wam, że robotnicy to wrogowie wewnętrzni, buntownicy, że to wszystko tylko Polacy i Żydzi, wrogowie Rosji.

# „...Nie garstka to tylko zuchwalców...”

lestwa Polskiego „bibułę”. 21 kwietnia 1905 roku na stacji Granica — na granicy z Austro-Węgrami — zatrzymano Teofila Domagałę i osadzono go w więzieniu w Piotrkowie Trybunalskim. Znalaziono przy nim wydawnictwa SDKPiL „wagi 2 pudy i 4 funty oraz kliszę metalową przedstawiającą skład czcionkowy o nazwie zatytułowanej: „Na dzień 1 Maja”.

Partie robotnicze wydały w tym czasie stosowne odezwy. W odezwie SDKPiL pisano:

„Nas gwałty rządowe nie ustraszają, bo nie garstka to tylko zuchwalców, co się z zbirać carskimi boryka — przeciw rządowi carskiemu stajemy my, cała klasa robotnicza! Nas żadne obietnice ni ustępstwa nie przejeżdżają, bo nie masz dla nas już życia dłużej pod takim rządem, nie masz niedoli gorszej nad tę, którą dziś cierpimy! Nam rząd carski nie straszny, bo my, lud pracujący, jesteśmy potęgą, silniejszą od żołdactwa carskiego, od wszelkiego rządu. Nie straszny, bo mamy do stracenia tylko kajdany, zyskać możemy cały świat!”

Łódzki Komitet Robotniczy PPS wzywał:

„Towarzysze! Uczcijmy dzień naszego święta przez strajk powszechny! Okażmy wrogowi po raz drugi tę potężną broń proletariatu, okażmy ją zarówno rządowi carskiemu, jak i polskiej burżuazji!...

I pamiętajcie, że dnia tego w całym państwie rosyjskim obchodzą będą powszechne święta proletariatu wszyscy bracia nasi, jęczący, jak my, w łańcuchach caratu. Ze w dniu 1 Maja na całej olbrzymiej przestrzeni carowego panowania okaże swą rewolucyjną potęgę lud robotczy rosyjski i robotnicy wszystkich, uciskanych przez jednego kata narodowości. Sercem i myślami będziemy z braćmi naszymi, z tymi towarzyszami naszej niedoli i towarzyszami naszej walki!”

Odezwa Łódzkiego Komitetu „Bundu” była krótka i sugestywna:

„Towarzysze! Nadchodzi dzień 1 Maja, święto proletariatu międzynarodowego.

Ten dzień powinien być dla nas świętym! Nie pracować! Wszyscy na ulice! Precz z ustrojem kapitalistycznym! Precz z militarystką! Niech żyje socjalizm! Niech żyje proletariatu międzynarodowy! Żądamy natychmiastowego zaprzestania wojny!

Żądamy zwolnienia zgromadzenia ludowego na podstawie powszechnego, równego, tajnego i bezpośredniego głosowania!

Żądamy 8-godzinnego dnia roboczego!”

Spodziewając się silnych zaburzeń 1 maja 1905 roku usiłowano obsadzić wojskiem wszystkie możliwe zapalne punkty. Wojsko było obecne w fabrykach. Ale taka stała obecność wojska była... niebezpieczna. Wojsko bowiem nawiązywało kontakt z robotnikami, poznawało ich żądania, cel ich walki i zaczynało go rozumieć. Na naradzie z naczelnikami powiatów i policmajstrami guberni piotrkowskiej gubernator M. Arcimowicz zalecał, aby często zmieniać miejsce postoju wojska, gdyż robotnicy przyzwyczajają się do żołnierzy, a żołnierze do robotników i taki oddział przestaje być groźny.

Były i takie wypadki, kiedy polscy robotnicy powołani do wojska odmawiali rozkazu strzelania do robotników. W Wołkowysku na przykład rozstrzelano z tego powodu pięciu kalisz, w Siedlcach czterech radomian, wielu innych zezłano na katogę lub do rot arestanckich. Rów-

no w rzeczywistości zaś robotnicy to wasi rodzeni bracia. Walczcie również o wasze interesy, o interesy całego ludu pracującego...

Nie strzelajcie do nich, bracia żołnierze!”

## 5. BYŁO ZUPEŁNIE INACZEJ

niż dziś świętuje się 1 Maja. Nie było jednego pochodu, nie było jednej manifestacji, w której brałby udział wszyscy. Każda partia organizowała swoją manifestację. Planowano je w różnych miejscach o różnym czasie. Zdawano sobie sprawę, że tajnicy penetrują różne grupy robotników i usiłują dowiedzieć się, gdzie będą demonstracje. Podsuwano im fałszywe informacje. Planowano organizację demonstracji w innych miejscach niż mówiono, jak też w innym czasie.

Po pierwsze — wezwano do strajku powszechnego, ale trudno uznać, że strajk był powszechny. Jak obliczyła policja na 62.444 robotników nie stawilo się do pracy rano 19.556, a po godzinie 9 pracę opuściło 2.422 robotników, natomiast po przerwie obiadowej do pracy nie stawilo się 9.274 robotników. W sumie — według obliczeń policji — nie pracowało 1 maja 1905 roku 31.252 osoby, to jest więcej niż połowa. Jak to obliczono — trudno to dziś ustalić. Trzeba wszakże pamiętać, że w fabrykach obecna była policja i wojsko, a poza tym opierano się na danych otrzymywanych od majstrów. Czy były to dane ściśle? Czy objęły wszystkie fabryki, a w tym i drobne?

Po drugie — wezwano do ulicznych manifestacji. I te się udaly, choć nie w naszym dzisiejszym rozumieniu.

Zaczęło się już o godzinie 6 rano manifestacja na ulicy Milionowej, gdzie grupa robotników rozwinięła sztandar z napisem: „Niech żyje 1 Maja! PPS”. Sztandar ten zawieszono na telegraficznych drutach. Na widok zbliżającego się wojska demonstranci rozbiegli się. I tak było mniej więcej do godziny 14.00. Zbierano się na Górnym Rynku (Plac Władysława Reymonta), na Wodnym Rynku (Plac Zwycięstwa), na Targowej, na Bałuckim Rynku, Młynarskiej, Łąkowej, Widzewskiej (Jana Kilińskiego), Łągielniczej, Południowej (Rewolucji 1905 roku), Starym Rynku i Aleksandryjskiej (Bojowników Getta Warszawskiego). Rozwijano sztandary, śpiewano, wznoszono okrzyki, gdzie się udało zawieszano sztandary na drutach telegraficznych lub telefonicznych i szybko rozchodzono się na widok policji lub wojska.

Sytuacja zmieniła się po godzinie 14.00.

Rejon ulicy Wschodniej i Południowej był miejscem, gdzie często organizowano manifestacje „Bundu”. Po godzinie 14.00 zebrało się w tym rejonie szczególnie dużo demonstrantów. Powlewały nad nimi czerwone sztandary, śpiewano rewolucyjne pieśni. Wznoszono okrzyki. Demonstrację — która szła w kierunku ulicy Średniej (Marcelego Nowotki) — ochraniali bojownicy uzbrojeni w brauningi. Od strony ulicy Średniej i Południowej do demonstrantów zbliżało się wojsko i policja. Do wojska przemówił urlopowany żołnierz 22 Wschodniosyberyjskiego Pułku Strzelców, Izrael Stern. Powiedział im, że też walczy za „ojczyznę”, że był dwukrotnie ranny w starciach z Japończykami, a teraz walczy o interesy robotników. W odpowiedzi na je-

go przemówienie rozległ się strzał i Izrael Stern padł ranny. Zmarł w szpitalu. Bojownicy zaczęli też strzelać. Strzelano do wojska z balkonów domów nr 23 i 25 przy ulicy Wschodniej. Zginęła 18-letnia Estera Weisfeld, a po manifestacji policja znalazła w mieszkaniu domu nr 45 przy ulicy Wschodniej rannego w głowę Jukela Blenda. Rannych musiało więc być więcej, ale nie zgłosili się po pomoc do lekarzy.

Duża manifestacja odbyła się na Wodnym Rynku o godzinie 17.30. Doszło tam do starcia z policją i wojskiem. Obrzucono kamieniami G. I. Nikołajewa — komisarza 4 cyrkulu, który jechał dorożką w towarzystwie stojkowego Kolorka, a dorożką powoził Koliński. Wszyscy trzej odnieśli obrażenia. Grupa demonstrantów schroniła się w parku Kwela (Park Żródliska), skąd ostrzeliwała się wojsko. Ranny został przechodzący ulicą Targową 61-letni tkacz Karol Kersz.

Manifestowano w tym czasie na ulicy Zarzewskiej (Stefana Przybyszewskiego), Pfeffera (Orłowska) i na Aleksandryjskiej. Tu od kul zginęli: 40-letnia żona szewca Marianna Kosman i 9-letni chłopiec Jan Piasik.

W miarę zbliżania się wieczoru rosło w Łodzi napięcie. Radca tytularny A. T. Bogdanow — pełniący tego dnia obowiązki policmajstra Łodzi — tak zanotował w przygotowywanym raporcie:

„... ul. Wschodnia i Wolborska są tak opłoniwane przez terrorystów, że przedsiawiają w obojętnym stanie poważne niebezpieczeństwo nie tylko dla funkcjonariuszy policji, ale i dla patroli wojskowych, gdyż dozorczy pod wpływem strachu nie śmiają stosować się do przepisów...”

Chodziło o nakaz wczesnego zamykania bram, aby demonstranci nie mieli gdzie się schować przed policją i wojskiem. A. T. Bogdanow zamyslał nawet obsadzić domy wojskiem, aby uniemożliwić jakikolwiek ruch demonstrantom, ale nic z tego nie wyszło.

O godzinie 19.00 doszło do starcia z patrolem 6 Dońskiego Pułku Kozaków na rogu Szosy Rokicińskiej (Armii Czerwonej) i Przedzalanianej. Ulicę przegrodzono zerwanymi drutami telefonicznymi, aby uniemożliwić ruch wojska, a kozaków obrzucono kamieniami.

Ostatnia manifestacja tego dnia odbyła się o godzinie 20.20 na Wodnym Rynku. Śpiewano „Warszawiankę”. Strzelano na wiatw i postrach dla krążących się wokół manifestacji spidłów. Od tych kul została ciężko ranna Marianna Bartosińska, która wygładała z okna domu nr 67 przy ul. Nawrot. Na ulicy Główniej (aleja Adama Mickiewicza) ranne zostały Wiesława Weronika Bystrzycka i Chana Słonimska.

Łódzki korespondent pisma SDKPiL „Z pola walki” pisał, iż demonstracje popołudniowe w Łodzi „miały krwawy przebieg: zabito kilka, raniono kilkanaście osób”. Tenże korespondent donosił, że następnego dnia praca „we wszystkich prawie fabrykach została podjęta od samego rana”, ale w Łodzi nadal było niespokojnie, gdyż miały „miejsce nowe starcia z wojskiem: wojsko raniło paru ludzi, ze strony policji padł ofiarą jeden stójkowy”.

Obradujący w Londynie III Zjazd Socjal-Demokratycznej Partii Robotniczej Rosji wyraził w rezolucji „swe oburzenie z powodu nowych morderstw zorganizowanych przez zbrodniczy rząd w dniu 1 maja w Warszawie i Łodzi”.

## 6. W DWA DNI PÓŹNIEJ

doszło do nowych starć w Łodzi, choć tym razem na innym tle. 3 maja 1905 roku o godzinie 20.30 przed kościołem św. Krzyża na rogu ulicy Przejazd (Juliana Tuwima) i Mikołajewskiej (Henryka Sienkiewicza) miała miejsce patriotyczna manifestacja. Zaatakowało ją wojsko i kozacy. Wydarzenia te tak oto relacjonował łódzki korespondent „Z pola walki”:

„Nadjechał oddział kozaków i zaczął strzelać do tłumu zebranego na cmentarzu. Kule wylaływały żelazne sztachety, porozbijaly szyby. Kilka kul wpadło do wnętrza kościoła i zraniło jedną czy dwie kobiety...”

Raniono w tym starciu 15 osób, jedną bagnetem. Jednocześnie z kozakami uwiązali się koło kościoła i piechota: dano cztery salwy do tłumu...

Po pierwszych strzałach w kościele powstał popłoch: nie do opisania, prawie wszyscy weszli do kościoła, skąd dopiero wyszli później, gdy się uciszyło”.

Następnego dnia wiele osób wybrało się pod kościół św. Krzyża, aby obejrzeć pobojowisko. Na Zielonym Rynku natomiast toczyły się wśród chłopów, którzy tu licznie zbiegli z okolicznych wsi na targ, głośne rozmowy o wieczornej rzezi i „przyszli oni wreszcie do konkluzji, że wszystkich kozaków należałoby wymoradować” — donosił korespondent „Z pola walki”.

On też utrzymywał, że „w ciągu ostatnich dni zostało rannych i zabitych ogółem około czterdziestu osób”. Zabitych było — uważał on — co najmniej dziesięć osób. „Sześć nazwisk jest nam znanych” — pisał.

Wydarzenia 1 maja w Warszawie i Łodzi zapoczątkowały nowy okres w rewolucji 1905 roku.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

**T**en to nieszczęśliwy urząd, to sejmów trzymanie kraj zgubiło, ściągając obce napaści. Te zaborów, te srogich klęsk naszych przyczyną. I my sami byliśmy nieszczęśliwi naszymi winami! Grząc w zbytkach lenistwie i bierności zwyciężyli. Myśleliśmy o sobie, a nigdy o Kraju...  
— Julian Ursyn Niemcewicz

Gorzkie słowa poety-patrioty dobrze odzwierciedlały stan serc i umysłów tych, którzy z racji swego klasowego usytuowania w określonym systemie społecznym decydowali o losach Rzeczypospolitej Szlacheckiej.

A Rzeczypospolita podówczas nierządnie stała. Złota wolność szlachecka — duma i chluba panującej klasy, pograżała kraj coraz bardziej w odchłaniach anarohii. Liczyli się o lepsze i „jedz, pij i popuszczaj pas” i „szlachcie na zagrodzie równy wojewodzie” i sejmiki-zbory w swój interes tylko zapatrzonych posesjonatów i sejmów, w imię wolności raz po raz zrywano, aż do sytuacji paranoi, gdy to za Augusta III Sasa nie doszedł do skutku ani jeden sejm. Nie doszedł do skutku, to znaczy, że albo zerwano go jeszcze przed obieraniem marszałka, albo przy głosowaniu nad przedłużeniem kadencji, lub po prostu w trakcie kadencji pod pierwszym lepszym pretekstem. I tak trwało to szlacheckie życie gnuśne i prywatne pełne, a

ZENON JANUSZ MICHALSKI

# Konstytucja moralnej odnowy

dorobek Rzeczypospolitej zaprzeczające na chłopskim pocie i trudzie oparte, na instytucjach państwowości i poddaństwa — filarach próchniejącego już feudalnego systemu.

Proces postępującej degeneracji moralnej tych, co uważali się za pierwszych w narodzie, wywalał na zasadzie reakcji i zjawiska pozytywne. Jawiły się z coraz większą determinacją, występowały grupy ludzi jednym tylko ożywie nagłymi, ratowania ginącego państwa. Komisja Edukacji Narodowej, Kuźnica Kołatajowska, Szkoła Rycerska — świadczyły o tym, że są jeszcze siły, na których oprzeć można proces moralnego odrodzenia.

Jakie konsekwencje może przynieść rozkład moralny społeczeństwa i rozchwianie się struktur władzy państwowej, wyznał rok 1772 — pierwszy rozbiór Polski. Dramatyczny gest Tadeusza Rejtana był symbolem protestu narodu przestającego być niepodległym, albo jednocześnie i dowodem pełnej bezsilności tegoż narodu. I kiedy wydawało się, że nie już nie jest w stanie odwrócić biegu wydarzeń — obradujący w Warszawie Sejm uchwalili 3 maja 1791 roku Konstytucję, która swą nazwę od daty uchwalenia wzięła.

„Uznając, iż los nas wszystkich od ugruntowania i wydoskonalenia Konstytucji Narodowej jedynie zależy, długim doświadczeniem poznawszy zadawnione Rządu naszego wady... — stwierdzano we wstępie konstytucji — wolni od hańbiących obcej przemocy nakazów, ceniąc drożej nad życie, nad szczęśliwość osobistą egzystencję polityczną, niepodległość zewnętrzną i wolność wewnętrzną Narodu, którego los w ręce nasze jest powierzonym... mimo przeszkód, które w nas namiętności sprawować mogą, dla dobra państwowego, dla ugruntowania wolności, dla ocalenia Ojczyzny Naszej i jej granic z największą siłą obronna i porządną z ogólnej siły Narodu... Wojsko winno Narodowi strzeżenie granic i spokojności powszechnej... Użytych być więc wojsko narodowe może na ogólną krajową obronę, na strzeżenie fortec i granic, lub na pomoc... gdyby ktoś egzekucji jego nie był posłusznym”.

A niełatwo przyszło ją uchwalić. Był to chyba pierwszy i jedyny zamach stanu, przeprowadzony z inspiracji osoby sprawującej władzę. Za wiedzą Stanisława Augusta przeciw ustalonemu i utrzymaniu w tajemnicy terminu wnieśli projekt ustawy na sejm. Przyspieszając termin sejmowego posiedzenia, działając na zasadzie konfederacji, co uniemożliwiałoby zastosowanie liberum veto, przy udziale zaledwie jednej trzeciej ogólnej liczby posłów Sejm uchwalili, a król zaprzysiął Konstytucję. Nie pomogły błazeńskie gesty postać Jana Suchorzewskiego, który licząc iż „utworzona jest rewolucja, która wolność narodu zmieni w niewolę” groził zabiciem przeprowadzonego na salę obrad sejmowych swego dziecka, a następnie Rejtana następującemu rzucił się na ziemię zagradzając drogę posłom. Finał w obu przypadkach był jakże wymowny. Obok Rejtana w milczeniu przechodzili posłowie w głębi ducha świadomi jego racji, Suchorzewskiego wyniósł po prostu z pomieszczenia jako zbędny balast, budząc zresztą wesołość zebranych jeden z obdarzonych niemałą siłą posłów. Protestującym innym niezliczonym posłom z opozycji marszałek Sejmu zdecydowanie dał odparcie stwierdzając, że „dla zbawienia Ojczyzny, wszelkie formalności ustawów muszą. W gwałtownym niebezpieczeństwie, gwałtownego należy chwycić się lekarstwa”.

Podjęciem dzieła moralnego odrodzenia narodu, jako niezbędnego warunku przywrócenia dawnej świetności Rzeczypospolitej w dalszej perspektywie, a ratowania przed nieubłaganiem nadchodzącą zagładą twórcy Konstytucji na pierwszym planie stawiali opanowanie anarchii czyniącej państwo bezwolnym i podatnym na agresywność obcych.

„Wszelka władza w społeczności ludzkiej początek swój bierze z woli narodu” — stwierdzono — rzucając wyzwanie feudalnej formule władzy z „bożej taski”.

„Aby więc całość państwa, wolność obywatela i porządek społeczności w równej wadze na zawsze zostały, trzy władze rząd Narodowy składać powinny i z woli prawa najmniejszego na zawsze składać będą, to jest: władza prawodawcza w stanach zgrupowanych, władza najwyższa wykonawcza w Królu i Straży i władza sądownicza w jurysdykcjach na ten koniec ustanowionych lub ustanowić się mających”.

Wychodząc z założenia, iż wielka władza od narodu pochodzi, jego przedstawicielstwu — Sejmowi, czyli władzy prawodawczej przyznano prawo podejmowania uchwał w sprawach „porobów doczesnych, stopnia monety, zaciągania długu publicznego, nobilitacji i innych nagród przypadkowych, rozkładu wydatków publicznych, ordynaryjnych i ekstraordinaryjnych, wojny, pokoju, ostatecznej ratyfikacji traktatów związkowych i handlowych, wszelkich dyplomatycznych aktów i umów do prawa narodów ściągających się, kwitowania magistratur wykonawczych i tym podobnych zdarzeń głównym narodowym potrzebom odpowiadających”.

Postanowiono, że „wszystko i wszędzie większości głosów decydowane być powinno. Przeto Liberum Veto, Konfederacje wszelkiego gatunku i sejmy konfederackie, jako duchowi niniejszej Konstytucji przeciwnie, rząd obalające, społeczność niszczące, na zawsze znosiemy”.

Zabezpieczając stanowienie praw przez reprezentantów narodu stwierdzano jednocześnie, że „żaden rząd najdoskonalszy bez dzielnej władzy wykonawczej stać nie może. Szczęśliwość narodów od praw sprawiedliwych, praw skutek od ich wykonania zależy... zawarowaną przeto wolnemu Narodowi Polskiemu władzę praw do siebie stanowiono... władzę najwyższą wykonawczą w Królu i w Straży, a gdyby przy niej upierał się, marszałek sejmowy w tym przypadku upraszać będzie o zwołanie Sejmu gotowego i jeżeli Król spóźnił będzie zwołanie, marszałek to wykonać powinien”.

Władza wykonawcza do pilnowania praw i o nich pełnienia ściśle jest zobowiązana... nie będzie mogła praw stanowić ani tłumaczyć”.

Dążąc do sprawnej władzy wykonawczej, przed anarchizacją życia publicznego zabezpieczającą, kładli jednocześnie twórcy Konstytucji zapórę na ewentualnej drodze do autokratyzmu.

„Decyzja Królewska — stwierdzano — powinna jednak być podpisana także przez jednego z ministrów zasiadających w Straży... W przypadku gdyby żaden z ministrów zasiadających decyzji podpisać nie chciał, Król odstąpi od tej decyzji, a gdyby przy niej upierał się, marszałek sejmowy w tym przypadku upraszać będzie o zwołanie Sejmu gotowego i jeżeli Król spóźnił będzie zwołanie, marszałek to wykonać powinien”.

I konsekwentnie wprowadzając formułę monteskiuszowskiego podziału władzy — jako trzecią część Rządu stanowili Konstytucja władzę sądowniczą, która taką być winna by „każdy człowiek bliska dla siebie znalazł sprawiedliwość, żeby przestępny widział wszędzie groźną nad sobą rękę krajowego rządu”. Strzec zaś tak ustanowionego porządku prawnego i całej Rzeczypospolitej winna Siła Zbrojna Narodowa, jako że „wojsko nie innego nie jest, tylko wyjągnięta siła obronna i porządną z ogólnej siły Narodu... Wojsko winno Narodowi strzeżenie granic i spokojności powszechnej... Użytych być więc wojsko narodowe może na ogólną krajową obronę, na strzeżenie fortec i granic, lub na pomoc... gdyby ktoś egzekucji jego nie był posłusznym”.

Drugi obok anarchii wyróżnik ówczesnego kryzysu stanowiły nierówności społeczne, nierówności, które rodziły i sam system i zwyrodnienie spowodowane magnacką i szlachecką samowolą. Nie występowali twórcy Konstytucji z postulatem pełnej równości, jako że sama Konstytucja z ducha francuskiej rewolucji zakładała jedynie równość polityczną była wprowadzona. Aż nie czas był po temu, ani ograniczone klasowo horyzonty autorów tego wielkiego przecież dzieła. Nie ulega natomiast wątpliwości, że Konstytucja w sposób jednoznaczny postulowała zmniejszenie istniejących różnic stanowych. Stanowi szlacheckiemu gwarantowano dotychczasową pozycję w społeczeństwie. „Szaniując pamięć przodków naszych jako fundatorów rządu wolnego, stanowi szlacheckiemu wszystkie swobody, wolności, prerogatywy, pierwszeństwa w życiu prywatnym i publicznym najuroczystej zapewniamy... bezpieczeństwo osobiste i wszelką własność komukolwiek z prawa przynależną, jako prawdziwy społeczności węzeł, jako strażnicę wolności obywatelskiej szanujemy, zabezpieczamy, utwierdzamy... Szlachcie za najpierwszych obrońców wolności i niniejszej Konstytucji uznajemy, jej świętość do szanowania, jej trwałość do strzeżenia poruczamy, jako jedyną twierdzę Ojczyzny i swobód naszych”.

Potwierdzając prawa i przywileje szlacheckie Konstytucja zakładała jednak zmniejszenie istniejących różnic społecznych poprzez poprawę połączenia pozostałych stanów. Znalazło się w Konstytucji wcześniej przez Sejm Wielki uchwalone prawo „Miasta nasze królewskie wolne w państwach Razpięte”. Uzyskali mieszczanie nietykalność osobistą, samorząd, dostęp do urzędów i godności, prawa naby-

wania dóbr ziemskich oraz prawo do udziału w Sejmie, w sprawach miejskich z głosem doradczym. Daleko jeszcze było mieszczaństwu polskiemu do statusu zwyczajnej burżuazji francuskiej, ale już zaczynało się ono liczyć w życiu publicznym, już „czarna procesja” Deklarta wywarła wpływ nie tylko na sejmowe decyzje o miastach i mieszczanach.

Nie pominięto w Konstytucji i sprawy chłopów. „Lud rolniczy — stwierdzono — spod którego ręki płynie najobfitsze bogactwo krajowych źródeł, który najliczniejszą w narodzie stanowi ludność, a zatem najdzielniejszą kraju siłę, tak przez sprawiedliwość, ludzką i obowiązki chrześcijańskie, jako i przez własny nasz interes dobrze rozumiany, pod opiekę prawa i rządu krajowego przyjmujemy, stanowiąc, iż odtąd jakiebykolwiek swobody, nadania lub umowy dziedzicze z właścicielami dóbr swoich autentycznie ułożyli... będą stanowić wspólny i wzajemny obowiązek... Układy takowe i wynikające z nich obowiązki przez jednego właściciela gruntu dobrowolnie przyjęte, nie tylko jego samego, ale i następców jego lub prawa nabywców tak włączyć będą, że ich nigdy samowolnie odmienić nie będą mogą”.

Ogłoszono też „wolność zupełną dla wszystkich ludzi, tak nowo przybywających, jako i tych, którzy by pierwsi z kraju oddalili się teraz do Ojczyzny powrócić chcieli”.

Działaniem na rzecz złagodzenia nierówności miały być także postanowienia dotyczące „Religii Panującej”. Wprawdzie stwierdzono, iż „religią narodową panującą jest i będzie wiara święta rzymskokatolicka”, ale jednocześnie podkreślono, że „taż sama wiara święta przykazuje nam kochać bliźnich naszych, przeto wszystkim ludziom jakiegokolwiek bądź wyznania, pokój w wierze i opiekę rządową powinniśmy i dlatego wszelkich obrzędów i religii wolność w krajach polskich podług ustaw krajowych warujemy”.

Stanowiła Konstytucja 3 Maja nadzieję współczesnych na ocalenie i ochronę Rzeczypospolitej. Pisał Antoni Trębicki, poseł inflancki na Sejm Czteroletni, że „los przyszedł równie jak i terazniejszy zawisł od cnoty i charakteru narodu. Zechce być wolnym, rządym i niepodległym, będzie wybierał nieskazitelnych oświeconych i podle praw reprezentantów swoich”. Doceniali także znaczenie Konstytucji — chociaż z odmiennego punktu widzenia, badacze śledzące rozwój wydarzeń w Polsce państwa sąsiednie. „Nie ulega wątpliwości — stwierdziła Katarzyna II — że zmiana formy rządu w Polsce, o ile w mocy i działaniu utrzyma się, nie może być dla sąsiadów korzystną. Dlatego obowiązek nakazuje nam przedsięwziąć środki dla odwrócenia zła, którego obawiamy się należy od państwa zaopatrzonego w liczne i obfite zasoby”. I rozważając najbliższą przyszłość, a w niej możliwość zawarcia pokoju z Turcją zakładała, że „wtedy nadarzy się najdogodniejsza sposobność, aby podczas powrotu wojsk naszych przez Polskę wesprzeć niezadowolonych z Konstytucji 3 Maja... Albo zdołamy obalić obecną formę rządu, przywrócić zaś dawną wolność polską, albo, jeśli król pruski okazał chęć nieopohamowaną, musimyśmy przyzwolić na nowy podział krajów Rzeczypospolitej... Polskę zamknęlibyśmy w takich granicach, że bez względu na działalność jej rządu, przez samą szczyptę swoją przestałaby być niebezpieczna dla sąsiadów, wśród których stałaby się tylko przegrodą”.

Nie dane było twórcom Konstytucji 3 Maja doczekać się jej owoców. Sojusz rodzimego wstępczństwa i obcej agresji zrodził Targowicę — symbol zdrady narodowej. Zaważył na losach państwa pogląd szlacheckiej racji, że o sile Rzeczypospolitej stanowi jej słabość, gdyż „stała Rzeczypospolita nikomu grozić nie może i stąd nikomu powodu do agresji nie daje”.

Aczkolwiek niespełniona, pozostała Konstytucja 3 Maja jako dowód mądrości politycznej ludźli Oświecenia, jako protest wobec rozbiorów, jako drogowskaz w walce o odrodzenie narodu. Stanowiła Konstytucja zapowiedź nowej ery — burżuazyjnej, stał w kapitalistycznej Drugiej Rzeczypospolitej dzień jej uchwalenia podniesiono do rangi święta narodowego. Dzisiaj w warunkach ludowej władzy utraciła pewne swe walory, popełnił natomiast niewątpliwie błąd wybitny działacz socjalistyczny Ignacy Daszyński, który w 1891 roku określił rocznicę Konstytucji 3 Maja jako „pamiętkowe święto kapitalistycznego mieszczaństwa”.

## Balast czy motor?

Jednym z bardziej bolesnych i brzemiennych w skutki mitów naszego życia publicznego są tzw. tradycje parlamentarne. Gdy chcemy zamieścić nasz europocentryzm, naszą przynależność do rodziny demokratycznych narodów i państw cywilizacji śródziemnomorskiej, wtedy — jak królik z cylindra — pojawia się te pare stuleci polskiego sejmowładztwa i na okraże mit demokracji a la II Rzeczypospolita...

Nie mam zamiaru ani ochoty obalać czy dezawuować naszych mniemań o własnej historii. Jest to zadanie dla zawodowych szercaczy ogarniętych misją głoszenia, jak to było naprawdę. Zresztą nie wierzę w skuteczność zwalczania mitów: natura bowiem nie znośi próżni — w miejsce wytrząsanych czy skompromitowanych legend przychodzi nowe, również pełne emocji. Nie mogą natomiast być wyparte przez poglądy racjonalne, gdyż proporcja mitów i „racji oświeconych” w świadomości historycznej zbiorowości jest mniej więcej stała. Wolę przeto zastanowić się nad współczesną treścią naszych parlamentarnych tradycji.

Demokracja — jako filozofia organizacji życia zbiorowego — ma wiele powabów i atrakcyjnych „magnesów”. Jednym z nich jest niewątpliwie możliwość czynienia pięknych gestów. Tak, gestów, albowiem w swej wierzchniej warstwie demokracja jest spektaklem. Sądzę, że nasze sejmowe tradycje — jako podstawowy element demokratycznej formuły życia publicznego — są właśnie pełne gestów i zdarzeń niezwykłych. Nie ulega bowiem wątpliwości, że nie dotarliśmy, organizując rudymenty własnego państwa, do głębszych warstw „demokratyczności”. A może dopiero teraz współcześnie do nich docieramy...

Jakie wartości kryją się pod spektakularnym pięknem demokracji? No cóż, są to surowe, zgrzebne kondycje porządku egzystencji państwa we wszystkich jego strukturach. Tu już jednostka nie może błyszczyć — skazana jest natomiast na ciężką kolektywną robotę — i odpowiedzialność. Demokracja to prymat większości — oznacza zatem psychiczną gotowość mniejszości do podporządkowania się i współodpowiedzialności za wykonawstwo decyzji (także tych, przeciw którym mniejszość głosowała). Oznacza jednocześnie zobowiązanie większości do nieszkodzenia mniejszości. Reguły demokratycznego rządzenia przewidują ściśle oddzielenie trzech faz organizowania życia publicznego: dyskusji, wyboru i wykonania. Dyskusja powinna być nieczym nie skrepowana, wybór — swobodny i odpowiedzialny, zaś wykonanie — konsekwentne. Ale nie może być mowy o tym, by kolejną fazę zlewały w jeden, anarchopodobny proces społeczny — by w trakcie wyboru jeszcze dyskutowano, a podczas wykonywania spierano się o wybór.

Co do tego mają tradycje parlamentarne? Przede wszystkim to, że nie są one tylko mało-wiedzą z podręcznika historii. To nie Skarga, nie Trzeci Maja, nie Rejtan, nie proces brzeski (jako obrona ideałów)... Tradycje parlamentarne to nie możliwość powoływania się na szczytne i doniosłe zaprzestanie fakty bądź ideały — to przede wszystkim nagromadzone przez lata zbiór reguł i wzorców zachowań w sprawach publicznych. I tu już nie piękno gestu decyduje tylko sprawadłama przez dziesięciolecia skuteczności działania...

Przyjęcie tego punktu widzenia na sprawę tradycji parlamentarnych skłania mnie do twierdzenia, że to, o czym na ogół mówimy, jest zaledwie „byszczącą czapczką”, pod którą kryje się szara rzeczywistość systemu demokracji przedstawicielskiej.

Liczne przyczyny obiektywne, których nie chcę teraz wymieniać, złożyły się na to, że nie wypracowaliśmy w pełni sprawnych, demokratycznych i parlamentarnych mechanizmów zarządzania naszymi własnymi sprawami — także w minionym czterdziestolecu demokracji ludowej. Co więcej — nie mamy też powszechnej świadomości, że „parlamentarność” funkcjonuje nie tylko w sejmie, lecz we wszystkich przejawach zbiorowego funkcjonowania społeczeństwa — od prostego zebrania obywateli czy członków podstawowego ognia każdej organizacji począwszy.

Superdemokratyczny najwyższy organ władzy to daleko za mało. Istota demokratyczności państwa i władztwa ludu koncentruje się na płaszczyznach niższego rzędu aż do czegoś znaczącego — w samorządzie osiedlowym, wiejskim, fabrycznym czy radzie narodowej stopnia podstawowego. Tam obywatel zdobywa polityczną praktykę i tam przeżywa się, co w rzeczywistości znacząca hasła. Obawiam się wszelako, że na tych płaszczyznach życia społecznego nasze tradycje parlamentarne nie funkcjonują należycie. Albo wcale...

Powstaje teraz pytanie fundamentalne — jak balast przekształcić w napęd? Nie wiem dokładnie — poza jednym: że to wymaga czasu, cierpliwości i konsekwencji w stawianiu drobnych kroków. Gwałtowne przeobrażenia naszej zbiorowej mentalności, zmiany o cudownym charakterze nie wchodzi w grę.

Przed laty poeta Tadeusz Miciński postawił trafną diagnozę podstawowego schorzenia naszego życia publicznego: „u źródeł duszy polskiej na szczytach zbudowano gadatliwe mity”. Bolesna to prawda, ale nie aż tak, by o niej zapominać. Zwłaszcza w kwestii skuteczności naszego systemu demokracji przedstawicielskiej.

TOMASZ SAS

**A**rgumenty dzielą się na urzędowe — „na piśmie” i „na gębę”. Te pierwsze można interpretować wedle uznania, a te drugie — robią atmosferę. Poza tym są jeszcze racje strony przeciwnej oraz racje wyższe. Według racji wyższych — globalnie rzecz ujmując — ważny jest interes społeczny, a nie jednostka. Patrząc z wysoka, pojedynczego człowieka po prostu nie widać, trochę niżej — widać swoich ludzi, a z całkiem bliska — widać niestety wyraźnie, rozrabiacza burzącego spokój. Spokój zaś — jest elementarnym warunkiem homeostazy, czyli równowagi układu. Równowaga, z kolei, jest warunkiem istnienia. Jasne jest więc, że układ zmierza do odzyskania zakłóconej równowagi poprzez eliminację elementu zakłócającego. Tak to już jest, a może nawet tak być powinno, gdyż spokój jest dobrem nieoszacowanym, nawet jeśli okazuje się być cokolwiek smrodliwy.

Wicewojewoda Bronisław Janaszek, odpowiedzialny za sprawę oświaty i wychowania, nie ma żadnych wątpliwości, że podjęte decyzje były słuszne i właściwe do rangi sprawy, zresztą czarno na białym w urzędowych dokumentach potwierdzają się przekonania pana wicewojewody.

— *Cała ta sprawa, proszę pani, była spreparowana od początku do końca. Chodziło o personalne animozje między Wilińskim i dyrektorem Ujmy. Dlatego Wiliński nie zawahał się wplątywać w to młodzież, chciał z jej pomocą zatłoczyć konkurenta. To są niedopuszczalne metody, żeby w konfliktach między nauczycielami wykorzystywać młodzież, wymuszać od niej jakieś zeznania na piśmie, ciągnąć po kawiarniach, nakłaniać do świadectwa przeciw dyrektorowi. Wiliński skłócił całe grono pedagogiczne w Liceum, wszyscy byli przeciw niemu i jego metodom działania. No a poza tym, jak można nadać rozgłosu sprawie, wciągając w to prasę? Zwalczając że toczy się oficjalne śledztwo. Dokumenty jasno mówią, że oficjalnie nie potwierdzono zarzutów przeciw dyrektorowi, w szkole zaplanował spokój, dzięki czemu proces właściwego wychowania może się toczyć bez przeszkód.*

— *Dlaczego zatem, oczyszczony z zarzutów dyrektor Ujma został odwołany ze stanowiska i przeniesiony na kierownika Pogotowia Opiekunczego? Jeśli był czysty, skąd ta dymisja?*

— *No, cóż komisja dopatrywała się uchybień w jego stosunku do uczniów, które mogłyby być opatrzone odbitkami.*

— *To w końcu tak? Był czysty, czy były uchybiecia, bo nie bardzo rozumiem?*

— *W dokumentach ma pani jasne stanowisko, zresztą, mamy zbyt mało czasu. Gdybyśmy mieli go więcej, mógłbym pani przeprowadzić pogłębioną analizę myślową tego zagadnienia. I powiedziemy szczerze, czy można poważnie traktować takie „obronę moralności”? Jeśli nauczyciel teni się z własną uczennicą, a po roku się rozwodzi, to czy to jest człowiekiem moralny? Chce wyraźnie podkreślić jedno, Wiliński dochodził słusznych racji, miał prawo, natomiast forma jego działania była absolutnie niedopuszczalna, wysoce naganna! No i on się, proszę pani, leczy u psychiatry!!! Może jak będzie zdrowy, będzie mógł wrócić do nauczania...*

Pan wojewoda, we własnym, służbowym gabinecie, czuje się bezpiecznie tak bardzo, że nie waha się babrać w prywatnym życiu nieobecnego, że posuwa się do jawnego kłamstwa i pomówienia, na które w Kodeksie Karnym są paragrafy. Insynuacje „matzyskie” są nieprawdziwe i obrzydliwe, nadto sugestia, jakoby Czesław Wiliński leczył się psychiatrycznie na długo przed całą aferą — co ma świadczyć o jego niepoczytalności — podana została tak jakby sam kontakt z lekarzem psychiatrą stanowił występki równie naganne, co defraudacja grosza publicznego.

Zatem — urząd stanowisko zajął, decyzje powziął, sprawa skończona. Amen. A jednostka? Jednostka najpierw walczyła w imię ideałów, potem w samoobronie. Śląc listy do redakcji gazet, odwołując się, tłumacząc. W końcu jednostka zaczęła walczyć o utrzymanie w karbach rozdygotanych nerwów.

## ROMA LOCUTA — CAUSA FINITA

„Jest też zastanawiające, że uczennica II Liceum Ogólnokształcącego, z takich zarzutów wobec dyrektora, zwróciła się nauczycielowi — mężczyźnie...”

Cytat powyższy podsumowuje stanowisko, jakie uznają za stosowne zając w konflikcie Fundacja Organizacja Partyjna przy II Liceum Ogólnokształcącym w Wałbrzychu. Ostre w tonie „Oświadczenie” POP zarzuca nauczycielowi geografii, Czesławowi Wilińskiemu, że skłamał nienaganne opinie etyczne i zawodowe zasłużonego pedagoga, dyr. Ryszarda Ujmy (tu następuje lista odznaczeń i godności społecznych jakim uhonorowany był dyrektor). Macierzysta organizacja partyjna jest przeciw, grono pedagogiczne Liceum — podzielone i skłócone. Jedni bronią dyrektora, inni oskarżają. Większość nauczycieli, także Czesław

JOLANTA WRÓNSKA

# Persona non gratis

Wiliński, ma za sobą kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt lat pracy w II Liceum. Są wśród nich ludzie cieszący się zaufaniem i szacunkiem uczniów, co niekiedy musi iść w parze z dobrymi notowaniami u władz. Wilińskiego uczniowie lubią i szanują, od lat uczestniczą w inicjatywach przez geografa ruchu turystyczno-krajoznawczym, ufają mu. Dyrektor — szefuje szkole od września 1980 roku, kiedy to, jak niosła plotka po mieście, cicho usunął go ze stanowiska wicekuratora Kuratorium Oświaty i Wychowania, za szastanie samochodowymi talonami. Jedni więc bronią autorytetu szefa, w imię dobra szkoły i zachowania twarzy wobec uczniów, drudzy — wyominają hodowlę świni na terenie szkoły (centrum miasta), uprawianą przez dyrektora, albo szantażę zza tarczy „doświadczonego ojca”, który tragicznie utracił syna. Przez to nieszczęście państwa Ujmy (małżonka dyrektora także uczyła w II Liceum) nauczyciele byli stawiani w niezręcznych sytuacjach i jeszcze w parę lat po tragicznym zdarzeniu, musieli milknąć wobec argumentu, że „pomiesiona strata wymaga od podwładnych należytego uszanowania”. Z tego powodu doszło nawet w pokoju nauczycielskim do regularnej biatyki, gdy jeden z nauczycieli zaprotestował przeciw nadużyciu pamięci zmarłego syna dyrektora do szantażowania rady pedagogicznej. Fizyk został publicznie zelżony i pobity przez dyrektorskie małżonkę. Proces sądowy uznał racje pobitego, nakazał dyrektorowi przeprosiny, ale nie mógł zapobiec próbie — na szczęście nieudanej — dyscyplinarnej usunięcia z pracy podstakującego nauczyciela fizyka.

Działy się przeróżne dziwności w pokoju nauczycielskim, co rzecz jasna musiało być zauważone i komentowane wśród uczniów. Tylko więc ostatni balwan mógł stwierdzić, że dopiero wyskok Czesława Wilińskiego poważnie nadszarpnął dobre imię szkoły i autorytet grona pedagogicznego. Nie ma cudów, takich historyjek nie da się zamknąć za drzwiami pokoju nauczycielskiego i tylko dziwić może niezwykła wyrozumiałość zwierzchnich władz oświatowych wobec zdarzeń w szkole.

Wyrozumiałość zwierzchności miała jednak granice, a zostały one przekroczone w momencie, gdy sprawa przedostała się do prasy. Tego już za wiele. Środowiskowe brudki — zgodnie z zaleceniem śp. Dulskiej — należy prać we własnym gniazdku i biada temu, co położy z jeżorem do gazet. Tak też stał w dokumencie, jaki otrzymał Czesław Wiliński od wojewody wałbrzyskiego, 30 czerwca 1984 roku:

„Na podstawie art. 14 ustawy z dn. 21 lipca 1983 r. o szczególnej regulacji prawnej w okresie przewycięzania kryzysu społeczno-ekonomicznego oraz zmianie niektórych ustaw” Wiliński został wyrzucony z zajmowanej od 18 lat posady nauczyciela geografii w Liceum i przeniesiony do szkoły podstawowej (znaczy, że naganna moralnie jednostka niestety nie jest szkodliwa dla młodzi

gimnazjalnej, ale w podstakowce już nie jest szkodliwa w żadnym razie).

W uzasadnieniu decyzji pisze: „Jako nauczyciel II LO dopuścił się obywatel rzących uchybień wobec młodzieży, rodziców, grona pedagogicznego i dyrekcji. W okresie marzec — czerwiec 1984 roku, samowolnie i bez zgody władz oświatowych, przeprowadził Obywatel na terenie szkoły dochodzenie skierowane przeciwko dyrektorowi. Swoim postępowaniem siał Obywatel ferment wśród uczniów i nauczycieli. Podburzał uczniów oraz rodziców i nauczycieli przeciwko dyrekcji, co znalazło potwierdzenie podczas przeprowadzonego przez Kuratorium Oświaty i Wychowania postępowania wyjaśniającego”

Czy wobec powyższego, postępowanie prowadzone na okoliczność postawionych dyrektorowi zarzutów, czy też w związku z „podburzaniem” nauczyciela geografii??

Dalej czytamy: „Działanie Obywatela należy uznać za niewłaściwe, szkodli-

by zależnej w strukturze formalnej i nie?) obwiniony skłócał pismo na rece wicewojewody”.

Nie wiem, może ja jestem przedwojenna, ale co jest nagannego i „znamiennego” w przedstawionym tu postępowaniu?

Dalej w uzasadnieniu pisze: „Charakterystyczne dla postępowania obwinionego jest to, iż z góry założył, że uczniowie mówią prawdę, a do rozpatrzenia sprawy władze są tylko instytucje pozaszkolne. Dlatego nie zwrócił się o jej zbadanie do Kuratorium Oświaty i Wychowania, z dwutygodniowym opóźnieniem poinformował o zajściu wychowawczą klasę, do której uczęszczały skarżące się uczennice, nie przedłożył sprawy na posiedzenie rady pedagogicznej, nie zgłosił jej co najmniej do wicedyrektora szkoły. O tendencji postępowania obwinionego, wyznaczaniu sobie roli jejnego sprawiedliwego świadka, jego dalsze postępowanie: poszukiwał i nakłaniał do

pisemnych zeznań inne uczennice, rzekomo napastowane przez dyrektora, wysłał te oświadczenia do „Przeglądu Tygodniowego”, zorganizował spotkanie dziennikarza z uczennicami. Zanieskojony przedłużającym się zalatwianiem sprawy przez władze wojewódzkie, obwiniony pisze sam, bądź inspirował do pisanja skarg do Ministerstwa Oświaty i Wychowania, (...) Wyrażał niezadowolone z tego samego tendencyjne przestuchanie poszkodowanych (...). Oceniając postępowanie obwinionego, Komisja nie mogła się dopatrzeć w nim li tylko dobra uczennic — co zasługiwałoby na pochwałę. Zatem rzecz nie w celu, lecz w metodzie, która przyniosła w rezultacie szkodę uczniom, nauczycielom i szkole. Komisja doszła też do wniosku, że stany lekowe i nerwowe uczennic spowodowane były nie obawami przed zemstą dyrektora lub jego żony, lecz uciążliwym sobie konsekwencji prawnobyczącej swych oskarżeń (...). Jeśli uważać, że obwiniony jest doświadczonym nauczycielem, cieszącym się autorytetem wśród uczniów, to metody jego działania muszą budzić sprzeciw i zasługują na ukaranie. Zatem kara jest współmierna do winy i w pełni zasadna”.

O tempora! O mores! Toż to szczyt wodolejstwa, braku logiki rozumowania, nie mówiąc już o całkowitym pominięciu sedna sprawy, do czego, najbardziej konserwatywna ze skotniałych, administracja oświatowa, bez żenady się przyznaje. Że nie o cel chodzi, a o środki. Nie ważne, czy jemu ukradziono zegarek, czy on ukradł zegarek... Nie będzie dalszego komentarza.

Czytelniku, pewnie od początku chcesz wiedzieć o co poszło?

13 marca 1984 r. do geografa Czesława Wilińskiego, zgłaszając się trzy uczennice, zdenerwowane, jedna płacząca. Ze skarga jedna z nich, wezwana przez dyrektora do pustego gabinetu stała się ofiarą próby uwiedzenia wyrażającej się w sugestiach, mowie i czynkach. Koleżanki poszkodowane potwierdzały, że podobne fakty miały już miejsce, że kilka innych dziewcząt w szkole także padało ofiarą szczególnych upodobań dyrektora. Odbarzony zaufaniem nauczyciel, choć nie jest wychowawcą dziewcząt, proszony jest o interwencję i obronę, zaś poszkodowane gotowe są pisemnie potwierdzić swe zeznania.

Oskarżenie jest bardzo poważne, w dodatku natury delikatnej. Wobec delikatności, w dodatku natury delikatnej. Wobec delikatności, w dodatku natury delikatnej. Wobec delikatności, w dodatku natury delikatnej.

Może to asekuranctwo i

bierno przyzwolenie na dyktarską bezkarność, a może doświadczenie pouczające o tym, co się dzieje z podskakującymi. Ludzie mówią, że w Wałbrzychu świat wydaje się odległy, za górami, za lasami. Może przez tę głęboką kotlinę, w której rozlewa się miasto, może przez te góry i hałdy grodzące od świata, trochę jest tu utrudniona cyrkulacja świeżego powietrza. A ulubiona miejscowa rozrywka jest karuzela. I jakoś rzadko się z niej spada, nazwiska te sama, fotele inne, to się człowiek niechętnie wychyla.

Czesław Wiliński chce dyskretnie, ale ponętą biad taktyczny. Wychowawczy poszkodowanych uczennic dowiaduje się o fakcie po dwóch tygodniach. Na radzie pedagogicznej sprawy nie stawia. Znając głębokie podziały wśród nauczycieli, niedobra atmosfera, powątpiewa w skuteczność tu podjętych działań. Zarzut późniejszy, jakoby należało powiadomić go co najmniej wicedyrektora liceum, jest idiotyczny. To „co najmniej” należało iść z tym do dyrektora?

Do Kuratorium Czesław Wiliński też nie idzie świadom, że niedawny wicekurator, dziś jego bezpośredni przełożony, może mieć tam swych znajomych, co sprawie po cichu ukreka łeb. Woli od razu do wicewojewody, by mieć gwarancje, że sprawa zostanie uczciwie zbadana. Czy jego podejrzenia co do powiązań dyr. Ryszarda Ujmy z pracownikami Kuratorium były uprawnione i zasadne, nie wiem, nie mogę osądzić. Wicewojewoda otrzymuje wyczerpujące pismo w kilka dni po zajściu. Przez dwa tygodnie trwa cisza, w czasie której Czesław Wiliński sprawdza prawdziwość oświadczeń uczennic, chce to mieć na piśmie, bo puście gadanie nie jest żadnym dowodem, a tu trzeba rzetelnych dowodów, by wysunąć tak poważne oskarżenie. Cisza trwa, uczennice niespokojne o swój los, czekają na komisję, osadzając geografa, że zlekceważył sprawę.

W miesiąc od złożenia pisma, ponowna wizyta w wicewojewodę z prośbą o wyjaśnienie przyczyn zwłoki. Usłyszy wtenczas Czesław Wiliński, że to „takie fantazje nieodpowiedzialnych panienek, słabych, w dodatku, uczennic, a w ogóle to... insynuacja jest jasna: panienki mają nieco lekkie obyczaje, pewnie same spowodowały, że w ogóle to coś w tym zlego, że dyrektor pocałował uczennice?.. Wobec takiej postawy, Czesław Wiliński wysłał skargę do Ministerstwa.

I dopiero na wniosek MOiW, Kuratorium wałbrzyskie powołało komisję dla wyjaśnienia sprawy. Miałeń póżora miesiąca od powiadomienia władz, Komisja prowadzi dochodzenie w szkole, przesłuchuje uczennice, ale protokołów do podpisu żadna z nich nie otrzymuje. Żadają się przypadki zastraszania uczennic konsekwencjami dalszego oskarżania dyrektora — co zresztą powoduje wysłanie do Ministerstwa skargi przez matkę jednej z przestuchanych. Bez odpowiedzi.

Podobny treści skargę na sposób prowadzenia dochodzenia, wysłał do Warszawy także Czesław Wiliński, upoważniony do tego relacjami uczennic i swym sumieniem pedagoga. To oznacza, że w Kuratorium Czesław Wiliński jest przekreślony raz na zawsze. A już szczerzym „nieodpowiedzialnego działania” jest cynk do prasy. Czesław Wiliński rozmawia z miejscowym korespondentem „PAP i „SZTANDARU MŁODYCH” red. Andrzejem Bastińskim, który żąda kontaktu z uczennicami. W rezultacie, 6 czerwca 84 r. ukazuje się w „SZTANDARZE MŁODYCH” artykuł pt. „Czy lubisz Wandzlu swojego dyrektora?”

W artykule nie ma żadnych danych „topograficznych” umożliwiających identyfikację miejsca akcji, nazwisk bohaterów, ot, mogło się przydarzyć wszędzie w Polsce. A mogło, mogło...

A jednak nożyce doskonale wiedział, w który to stół uderzone. Szła trafili „delikatna naturę sprawę”, spokój!... wszystkie możliwe czynności. Wywleczenie sprawy na widok publiczny jest kamieniem śmiertelnej urazy i onże kamień celnie trafia pyskatego geografa. Żeby było śmieszniej, dwa tygodnie przedtem, 14 maja 84 roku,

Kuratorium wystosowało do Czesława Wilińskiego pismo... z podziękowaniem za obywatelską i pedagogiczną troskę o morale szkoły i wyrażeniem nadziei, że „osobiste zaangażowanie się Obywatela w sprawę, nie wpłynęło na pogorszenie się atmosfery pracy w szkole”. Na i wykrakali! Atmosfera nie tylko się pogorszyła, atmosferę nie ma wcale! W szkole wrze, POP wystosowuje ostre „Oświadczenie”, jednoznacznie broniące dyrektora i potępiające Wilińskiego, uczniowie, tuż przed końcem roku mają żer, a raczej lekcję poglądową pod tytułem „los takich, co się wychylają” i wyciągną z niej wnioski, które w trzecim pokoleniu odezwą się nam jeszcze paskudną czkawką.

W dzień po prasowej publikacji, 7 czerwca 1984 r., odbyła się Nadzwyczajna Rada Pedagogiczna II LO. Dyrektor atakuje frontalnie, padają obelgi i komentarze dotyczące życia osobistego, podpadające pod parę paragrafów Kodeksu Karnego. Nauczyciele podzielili do reszty na dwa wrogie obozy, jak zresztą przyznaje Czesław Wiliński — większość jest przeciwko niemu. Główny zarzut, posądzenie o prywatne rozgrywy personalne z dyrektorem, o wywleczenie takiej brudnej sprawy do prasy, co podważa autorytet (sam brud prasy, rzecz jasna, autorytetu nie podważa?). Nade wszystko zaś, licznější grupa ciała pedagogicznego jest zupełnie zaskoczona rodzajem zarzutów postawionych dyrektorowi Ryszardowi Ujmy. Pierwszy raz w ogóle słyszą o czymś takim! Przepaszka, a prowadzone od miesiąca na terenie szkoły dochodzenie komisji z Kuratorium? Też o tym nauczyciele nie słyszeli? To z kim właściwie rozmawiała wysoka Komisja?

Jedyny wniosek konstruktywny z nadzwyczajnego posiedzenia przybleka się w pismo do Kuratorium z monitem o przyspieszenie dochodzenia i wyjaśnienia sprawy.

Po czym następują wydarzenia dziwne i krew w żyłach mroźne... o północy się zjawili jacyś dwaj cywili, nie nikomu nie mówili, tylko w mordę bili. Po pierwsze — nie o północy, tylko w biały dzień, w szkole, w jednym z gabinetów, Czesław Wiliński zostaje ciężko pobity przez dwóch facetów. Zwyczajnie, weszli do szkoły, byli u dyrektora, po czym sprali nauczyciela i spokojnie sobie poszli. Jest pogotowie, obdukcja lekarska (rany cięte głowy), przyjeżdża milicja. Afera na cztery fajerki, ku budowie autorytetu szkoły w oczach działaczy. Jednym z rozbójników okazuje się być tatuś wychowawczy poszkodowanych uczennic. Proces sądowy przerywa amnestia dla sprawców, właściwa komisja zaś nie przyznaje do wiadomości szkody zdrowotnej i psychicznej poniesionej w czasie i miejscu pełnienia obowiązków służbowych przez Czesława Wilińskiego, choć w końcu przyznaje odszkodowanie. Wiliński zaczyna mieć dość, nerwy mu wysiadają.

W miesiąc po artykule prasowym 30.06.84 r. przychodzi dyscyplinarne zwolnienie z pracy. Być może Komisja Kuratorium wyjaśniła już do końca sprawę, rozsądziła winy, ale nie była uprzejma powiadomić o tym Rady Pedagogicznej II LO na piśmie. Za to „na podstawie przeprowadzonych dochodzeń” wicewojewoda dymisjonuje Czesława Wilińskiego z paragrafu 14 ustawy o szczególnej regulacji...

Koniec znany. Rozprawa odwoławcza w Warszawie, utrzymanie decyzji wicewojewody w mocy. Apelacja do ministra — bez skutku. Minister Faron unmywa ręce, Wiliński zapada na ciężką nerwicę reaktywną z objawami wyczerpania psychicznego. Leczy się u neurologa i psychiatry, od pół roku na zwolnieniu lekarskim, trzyma się kupy dzięki prozkom i pastylkom. Uprawia ogródek, rąbie drzewo i myśli. Bez przerw myśli, dlaczego stało się tak, a nie inaczej. Chciał dobrze, nie o własny interes wojował, o zasady mu szło. Te nielanuzaine, ludzkie, nauczycielskie. Nie, nieprawda, to przecież jednak był jego interes, to o jego ideały chodziło, o jego własną twarz, o sumienie.

Nie może spać, bije się z myślami, tysiąc razy przewraca stopy papierków, jakimi obrosła „sprawa”, zadreca bliskich swymi wątpliwościami, nie rozumie...

Persona non gratis? Nie za darmo, nie dla abstrakcji pokłócił się ze swoim światkiem, za swoje rozumienie prawdy? Persona non gratis? Persona non grata?



# Ogłoszenie drobne

11. Od śmierci Jana Sztudyngera mija już 15 lat. I przez te 15 lat ukazało się aż 13 książek poety. W tym tylko jedno wznowienie: „Łatki na szachownicy”, „Chwalipięta, czyli rozmowa z tatą”, „Dróżka przed siebie”, „Szczęście z datą wczorajszą”, „Pioręka znalezione”, „Krakowskie piórka (inne wiersze)”, „Jak zwykle wszystko winą jest Amora”, „Moja wnuczka”, „Bajki (dla dorosłych)”, „Supelki”, „Poezje wybrane”, „Piórka”, „Szurnowiny” — to książki zupełnie nowe. Zawierają co piąde, sporo wierszy, fraszek, mikrodramedy, jednak jest w nich również dużo utworów i wspomnień poety trafiających do czytelnika po raz pierwszy. To, że mogły się ukazać, jest w głównej mierze zasługą Anny Sztudynger Kaliszewiczowej, która przygotowała je do druku.

12. — Ja to zaczęłam robić ze smutku i złości. Po śmierci ojca byłam bardzo zrozpaczona, rozbita... Jakkolwiek przez ostatek 10 lat mieszkaliśmy oso-

cieliśmy się, że mają takiego gościa, ale były też przy tym speszzone. Wiedząc, że ojciec jest na diecie, zapuściły go przez kierownika biblioteki, co mogło podać na kolację, aby mu nie zaszkodziło. Usłyszałyśmy o ich kłopotach, ojciec natychmiast odpowiedział fraszka:

Oto zasady mojej diety:  
Nawaz najwyżej dwie kobiety.  
Dobry żart, ale przyzna pan — dopiero z tym wyjaśnieniem okoliczności. I takich improwizowanych fraszek stworzył ojciec mnóstwo.

Największa porcja fraszek znalezionych pochodzi od znanego zakopiańskiego księgarza pana Stefana Gasparę, który przyjaźnił się z moim ojcem i był na tyle przeczny, że gdy szli gdzieś na obiad, czy też spotykali się w jego księgarni, zapisywał — najczęściej na serwetkach — fraszki, które w czasie tych spotkań powstawały. Pamiętam, że po tym moim apelu w „Przekroju” zawołał mnie do siebie do Zakopanego i na powitanie postawił na stole duże pudło, w jakie kiedyś pakowano wędłouskie czekolad-

ale był również bardzo wyrozumiały, gdy nie zdążyłam zrobić czegoś na czas, i jeszcze pomagał mi w wielu sprawach, choć sam jako lekarz miał mnóstwo swojej pracy zawodowej.

Jeżeli chodzi o Dorotę, to póki była mała, buntowała się, że mam tak dużo rozmaitych zajęć i zainteresowań. Później, myślę, zaczęła mnie rozumieć i teraz dochodzi nawet do tego, że kiedy jestem już tym wszystkim zmęczona, kiedy mówię, że mam dosyć, Dorota podtrzymuje mnie na duchu, mówi, że to, co robię, jest naprawdę ważne i potrzebne.

Moja córka jest teraz na ostatnim roku filologii angielskiej. Gdy przyszło jej wybrać temat pracy magisterskiej, chciała pisać o noweli Hemingwaya „Stary człowiek i morze”. Okazało się jednak, że jest już dużo prac magisterskich na ten właśnie temat. Postanowiła więc zająć się obrazem człowieka starego we współczesnej literaturze amerykańskiej. Bardzo się do tego zapalała. Kto wie, czy nie rośnie nam młody

(2)

PAWEŁ TOMASZEWSKI

## Myślą, sercem i uczynkiem...

ono i na dłuższą widywalimy się tylko w okresie wakacji, to przecież... i kiedy wszedłam po raz pierwszy do pokoju ojca po jego śmierci, kiedy zobaczyłam te szuflady pełne rękopisami, o garnela mnie złość i wielki żal. że ojciec nie doczekał się publikacji tych utworów. Oczywiście wtedy nie wiedziałam, że ojciec przygotowywał jakieś nowe rzeczy, że myślił o wydaniu rzeczy dawno już napisanych, a nie opublikowanych dotąd, ale nie zdawałam sobie sprawy, że jest tego aż tak dużo. No, więc co miałam zrobić? Zabrałam się do pracy. Nie miałam czasu innego wyjścia.

Na pierwszą książkę — „Chwalipięta, czyli rozmowa z tatą” — której jestem współautorką, umowa z wydawnictwem została podpisana jeszcze za życia ojca. Pisałam ją wspólnie z ostatnim 9 miesiącu, kiedy ojciec był już przykutym do łóżka, leżał w szpitalach. Powstawała z wielkim trudem, i obie z matką nie wyobrażałyśmy sobie, aby ten trud miał pójść na marne. Musiałymy to dzieło doprowadzić do końca.

Tu powinnam dodać, że nigdy przedtem nie zajmowałam się sprawami wydawniczymi, nie miałam o nich zielonego pojęcia i gdyby nie moja matka, która jest doświadczonym redaktorem... Przed wojną pracowałam w „Tece” i wydawnictwie św. Wojciecha w Poznaniu. Zawsze pomagała ojcu, a i mnie wprowadziła w pracę edytorską. Tak, że gdyby nie ona, sama nie dałabym sobie rady.

No, i tak się zaczęło. A potem — prawie co rok nowa książka. Jestem tym już trochę zmęczona, niemniej mam wielką satysfakcję. Kilka rzeczy jest jeszcze w przygotowaniu. O, właśnie wczoraj Krajowa Agencja Wydawnicza z Biuletynu przysłała mi umowę do podpisania. Teraz kończę dla KAW w Łodzi książkę pod tytułem „Fraszki z rękawa, czyli dedykacje i improwizacje Jana Sztudyngera”, w której chce przedstawić odnalezione przeze mnie fraszki ojca. Część z nich ukazała się już w „Znalezionych piórkach”, ale większość nie była drukowana; wiele wymaga też specjalnego omówienia, komentarza, pokazania w jakich sytuacjach powstały. Bo czasami kontekst jest tu bardzo ważny i bez jego znajomości dana fraszka nie brzmi tak, jak powinna. Na przykład...

— Ale muszę zacząć od początku. Otóż po śmierci ojca, kiedy byłam w rocznicy, napisałam do „Przekroju” w grudniu 1970 roku, apel do wszystkich, którzy stykali się z moim ojcem, aby zechcieli podzielić się ze mną swoimi wspomnieniami. — Wznowienie przysłał niemiernie fraszki ojca, jeżeli takowe posiadają. Oczywiście liczyłam na jakiś oddźwięk, nie spodziewałam się jednak, że przyjdzie przeszło 130 listów. Na wszystkie musiałam odpowiedzieć, zwłaszcza że wiele było bardzo obszernych i niezwykle interesujących. Z niektórymi ich autorami do dziś utrzymuję stały kontakt, co bardzo sobie cenię. I tak jest właśnie między innymi z nieimienną panią z Sieradza, która opisała mi, jak ze swoją siostrą bibliotekarką zaprosiły kiedyś ojca na spotkanie autorskie, a później gościły u siebie w domu, gdyż ojciec nie chciał spać w tamtejszym hotelu. Obie panie

ki. Ucieszyłam się w nadziei, że moje łakomstwo zostanie zaspokojone, tymczasem okazało się, że całe pudło pełne byłoby serwetek z fraszkami ojca. Zabawę mieliśmy niestychająca.

Jedną z fraszek przekazaną mi przez pana Gasparę napisana była na paragonie za tenisówki, które ojciec kupił w Krakowie. Nosi ona tytuł „Męcząca robota” i brzmi:

Znałem jedną dziewczuchę,  
Leżała do góry brzuchem,  
Lecz to tylko z ochoty  
Do męczącej roboty.

Pod tym znajduje się podpis: Kraków 17 X 1965. Ale najciekawsze jest to, iż fraszka ta do czekała się też... swego medalu. Na jednej jego stronie widujemy jej treść, na drugiej — stosowna do treści płaskorzeźba. Takich rzeźbionych fraszek jest już kilka. Wszystkie są dziełem krakowskiego artysty, pana Janusza Benedyktowicza.

A wracając do książek... Jeżeli starszy mi sił i zdrowia, to chciałabym, aby ukoronowaniem tej mojej pracy wydawniczej była książka pod tytułem „Pasje i przesady Jana Sztudyngera”, w której opowiem o ojcu i gronie jego przyjaciół. Ale kiedy się za to wezmę? Na wydanie czeka będący jeszcze w rękopisie duży dramat ojca — „Apostoli” — moim zdaniem bardzo ciekawy. Swego czasu interesował się nim Kazimierz Dejmek, myślał o jego ewentualnym wystawieniu, jednak nie z tych planów w końcu nie wyszło. A jeszcze są nowele ojca, artykuły o teatrze lalek, które też trzeba by zebrać...

Jak więc pan widzi, jest tego sporo.

13. Długie rozmowy z Anną Sztudynger Kaliszewiczową w jej mieszkaniu przy ulicy Srebrzyńskiej; rozmowy przy dobrej kawie i cięście lub czerwonym barszczyku, który jest specjalnością kulinarną domu, przy tykaniu pięknego, ubiegłowiecznego zegara, wygrywania „Jeszcze Polska nie zginęła” i „Boże coś Polsko...”; rozmowy wśród wiszących na ścianach obrazów, wśród książek, rozłożonych w sąsiednim pokoju na biurku notatek do opracowania dla Rady Naukowej przy prezydencie Łodzi; rozmowy raz po raz przerywane telefonami od słuchaczy uniwersytetu trzeciego wieku, od przyjaciół; godziny spędzone na powolnym układaniu się mozaikowego portretu kobiety — podobnej tysiącom polskich kobiet, zmęczonych troskami dnia codziennego, przeżywającej swoje radości i smutki, wiecznie zajętej, a przecież innej, żyjącej jakby kilkoma żywotami.

14. — Jak udaje się pani to wszystko pogodzić ze sobą?

— Głównie — dzięki osobom z mojej najbliższej rodziny i ich stosunkami do tego, co robiłam i robię. Jak już wspominałam, w pracach wydawniczych dużo pomagała mi mama. Dawniej zabierała też często do siebie do Zakopanego moją córkę, Dorotę, która wiele wtedy chorowała. Miałam więc więcej czasu do pracy.

Bardzo dużo zawdzięczam mojemu mężowi, doktorowi Semyrnowi Kaliszewiczowi, który nie tylko że nie wymagał ode mnie tradycyjnego prowadzenia domu (na przykład poza sobotami i niedzielami obiady jadałmy w „Dietycznej”),

gerontolog? Bardzo bym się cieszyła.

— A jak widzi pani rolę kobiety współczesnej w społeczeństwie i rodzinie?

— Uważam, że bardzo niesłuszne jest pozbawianie kobiety roli matki, żony i pani domu. Poza tym — współczesne rodziny polskie, zwłaszcza inteligentne, powinny mieć więcej niż jedno dziecko...

— No tak, ale pani postawa życiowa przeczy tym słowom.

— To prawda. I ja zdaję sobie z tego sprawę, ale podobno człowiek nabiera rozumienia wiekiem. I jeżeli chciałabym teraz zmienić coś w moim życiu, to właśnie miałabym więcej dzieci. Najważniejsze w życiu kobiety są dom i rodzina, a dopiero potem wszystkie inne rzeczy.

W latach mojej młodości stawiano kobietom inne zadania, wyznaczano inne role społeczne, chcąc nie chcąc, człowiek poddawał się temu, ulegał, przyzwyczajał. Dlatego dziś trudno byłoby mi się wycofać. Za daleko już zabiegłam. Ale mam ciągle wrażliwe sumienia, że za mało czasu poświęcałam domowi i rodzinie.

— Poświęcała pani i nadal poświęca ten czas innym ludziom, którzy również potrzebują troski i opieki. Nie był to więc czas stracony. Stosunek naszego społeczeństwa do ludzi starych...

— ...jest wprost skandaliczny. To morze chamstwa, które leje się na nas na ulicy, w sklepie, w tramwaju... Przecież to najbardziej dotyka osoby słabsze, starsze. Ja po prostu nie mogę na to spokojnie patrzeć. Jest charakterystyczne dla wszystkich starych kultur, że otaczają one szczytówymi ludźmi szczególną opieką i dawały im uprzywilejowane miejsce. A u nas?

— Uważam, że każdy okres życia ma swoje złe i dobre strony i każdy wnosi jakieś swojej wartości. Młodość jest dynamiczna, zbuntowana, czego, nawiasem mówiąc, nie potrafimy docenić i wykorzystać. Wiek dojrzały — kiedy człowiek uwolnia ciężką pracę i powolnie przyzwyczaja się do tego, żeby młodzi mogli się spokojnie zbuntować, a starszy spokojnie dożywać swoich dni. I starość — dająca doświadczenie, poczucie dystansu do wielu spraw, mądrość. To też jest niezbędny element życia społecznego.

Kiedyś Maciej Iłowiecki napisał pięknie, że statki mała balast, który pozornie należałoby wyrzucić, gdyż przeszkadza, stanowi dodatkowe obciążenie, a jednak to przecież ten właśnie balast pozwala utrzymać statkom równowagę. Podobnie jest z ludźmi starymi: stanowią balast, bez którego żadne społeczeństwo nie potrafi utrzymać równowagi.

I co jeszcze? Ludzie starszy podobni są trochę do dzieci — stać ich na szczerłość. I to jest w naszym zakłamanym świecie bardzo cenne. Ja jestem zmęczona przede wszystkim widocznymi na każdym polu działaniami pozornymi. Pozorna przeczność, pozorna przyjaźń, pozorne poświęcenie... Może właśnie dlatego tak wiele radości znajduję w obecności z osobami starszymi? Uniwersytet Trzeciego Wieku jest dla mnie ostateczną od siebie pozornością.

— Mimo wszystko, proszę państwa, chciałabym być przydatny...

— Zbytek subiektywny. Będą pieniądze, będą dochody. Chodźmy spisać umowę.

Przysłowie mówi, że apetyt rośnie w miarę

Historia, którą chcę dziś opowiedzieć, jest tyleż zabawna co smutna, a przy tym stanowi ilustrację przeogromnej ludzkiej naiwności z jednej strony a głupoty z drugiej. Fachowcy od latwych zarobków twierdzą, że w Polsce wcale nie trzeba szukać pieniędzy, forsa sama może przyjść do człowieka, o ile ten człowiek potrafi „myśleć kombinacyjnie”.

Po tym krótkim wstępie spieszę przedstawić głównych bohaterów. Są nimi małżonkowie Czesław i Józefa W. posiadający w Łodzi gospodarstwo rolne o powierzchni 1,11 ha, na którym wybudowali 3 szklarnie o powierzchni około 300 m kw. każda oraz dwa tunele foliowe podmurowane o powierzchni 230 m kw. każdy. W przyzwoitym domu mieszkalnym mają usytuowaną kotłownię (w piwnicy), która dostarcza ciepło do szklarni. Jednakże — jak się przekonamy — wskutek różnych przeciwności losu, w szklarniach i w tunelach foliowych nic nie rosło i nie kwitło. Może za wyjątkiem jednej, gdzie hodowano frezje.

Całe to ogrodnictwo gospodarstwo sprawiło wrażenie przynębiające, wszędzie panował bałagan i znać było niegospodarność.

Wówczas to zrodził się pomysł wart kilku dziesiątek milionów, choć dziś oboje małżonkowie mają w perspektywie po kilka lat odsiadki.

### PROSTY POMYSŁ

W jednym z czerwcowych wydań „Głosu Robotniczego” z roku 1980 ukazało się ogłoszenie określone jako „ogłoszenie drobne”. Zawierało następującą treść: „Udziałowca do szklarni przyjmie. Oferty...”

Małżonkowie W. rozumowali prawidłowo i precyzyjnie: skoro ktoś posiada większą gotówkę, to z reguły po to, by ją co najmniej podwoić lub zwielokrotnić. I to w czasie bardzo krótkim. Przy tym nie trzeba bać się Izby Skarbowej, jeśli się forsę zainwestuje w interes już prosperujący, legalnie zarejestrowany, a więc będący w zgodzie z przepisami.

Sypnęły się oferty. Ludziska pchali się oknami i drzwiami. A wszyscy nadziani, gotowi na każde ryzyko, byleby za rok, dwa stać się jeszcze bogatszymi. I jakoś nikt nie zwracał uwagi na fakt, że pokazywane im szklarnie i tunele foliowe robią przynębiające wrażenie, że jakoś nie widać tu gospodarczego rozmachu, przedsiębiorczości, handlowego ruchu. Wystarczyło, że małżonkowie W. rozstali przed nimi perspektywę bajkowych dochodów, że obiecali przyswoić im złote góry. Owszem, wspominali mimochodem, że w gospodarstwie trzeba to i owo usprawnić, zmodernizować, zrobić, ale przecież w każdym przedsięwzięciu są koszty własne.

— To ile by państwo sobie życzyli? — pytał przybyły.

- Im więcej tym lepiej.
- A konkretnie?
- Zależy ile chcecie pan zarobić. My obiecujemy, że w ciągu roku zwrócimy pański wkład, a potem zaczną się same dochody.
- To może ja państwu na początek tylko pożyczę, a jak zobaczą, że firma dobrze prosperuje, wtedy przystąpię do spółki. Zgodza?
- Czemu nie, pożyczkę też przyjmujemy.
- Ale na procent.
- Niech będzie. Ile pan chce?
- 40 procent.
- Dużo.
- Ano, dużo. Z mojej strony to ryzyko i dlatego muszę mieć na wszystko umowę.
- Oczywiście, bez umowy niczego nie bierzemy.

Umowa została spisana, strony się podpisały, toż samo uczynili świadkowie. Z jej treści wynikało, że małżonkowie W. otrzymają od Ob. Jana J. 330 tys. zł z 40-procentowym rocznym oprocentowaniem. Po roku zwrócić Janowi J. 482 tys. zł. A gdyby przypadkiem nie mogli, procent będzie rósł.

W praktyce okazało się, że dziś małżonkowie W. winni są Janowi J. 1.057.000 zł.

### PIERWSZY SYGNAŁ

Wspomniałem, że po ukazaniu się ogłoszenia w „Głosie Robotniczym” chętnych do udziału w firmie ogrodniczej prowadzonej przez małżonków W. zgłosiło się wielu. Ich zasoby finansowe były różne, ale tu, w szklarniach, każdy był traktowany jak przyszły współwłaściciel. Jeśli zjawiał się jakiś biedak, pospiliły ciulacz, który ułożył raptem 10.000 i teraz zapragnął się dorobić, małżonkowie nie gardzili jego zasobami, brali wszystko co do grosza.

— Ja, proszę państwa, mogę tu przychodzić o święcie i być do wieczora. Bo ja, proszę państwa, znam się na warzywach, znam się na kwiatkach, a jak trzeba coś naprawić, to też nie mam dwóch lewych rąk.

— Jest pan kochany, ale my sami, widzi pan przecież, że jeszcze stać nas na wysilek Do tego dzieci. Nie, nie chcemy pana wykorzystywać. Pieniądże — owszem. Trzeba to i owo zrobić, a szczególnie przerobić ogrzewanie. Ale o to niech państwa głowa nie boli.

— Mimo wszystko, proszę państwa, chciałabym być przydatny...

— Zbytek subiektywny. Będą pieniądze, będą dochody. Chodźmy spisać umowę.

Przysłowie mówi, że apetyt rośnie w miarę

jedzenia. Małżonkowie W. bardzo szybko przekonali się, że jedynie spisując umowy i to na każdy proponowany procent, mogą żyć jak królowie. Wystarczy trochę chachmęcić, przeciągać, kłamać, a jeśli trafi się jakiś niecierpliw raptus, zwracać mu w ratach pożyczkę — a można dożyć sędziwej starości w dobrobycie i dostatku.

Łódź i okolice zostały mocno spensetrowane, miliony wpłynęły szerokim strumieniem, życie stało się kolorowe i łatwe. Wówczas, bies ich chyba podkusił, dali ogłoszenie „Udziałowca do szklarni przyjmie” do „Gazety Krakowskiej”. Tam przeczytał je niejaki Jacek T. Zapalił się do sprawy. Władował do teckki okrągły milion i ruszył do Łodzi. Małżonkowie W. pokazali mu szklarnie i tunele foliowe.

— Jest wszystko, ale martwe. Gdyby tak założyć ogrzewanie, spalibyśmy na pieniądzech.

— Dużo potrzeba na to ogrzewanie?

— Sporo.

— Kiedy by się to zamortyzowało?

— Myślę, że w ciągu roku. Potem to już czysty dochód do podziału.

Jacek T. nie zastanawiał się. Spisano umowę, z której treści wynikało, że małżonkowie W. będą płacić Jackowi T. — z tytułu dochodu ze szklarni — w sposób następujący: poczynając od marca 1984 r. co miesiąc po 30.000 zł, we wrześniu i październiku — po 10.000 zł, w listopadzie — 120.000 zł, w grudniu, styczniu i lutym 1985 — po 100.000 zł.

Jacek T. z umową wrócił do Krakowa. Teraz należało tylko czekać na przekazy z forsa. Ale miesiące mijały i nic nie nadchodziło. Może przysłał od razu — zastanawiał się Jacek T. — całe 180.000!

Zaczął się niecierpliwie. A kiedy przyszedł wrzesień, w którym miał zainkasować już 100.000 — nie wytrzymał. Przecież zawiolił małżonkom W. cały milion! Co oni sobie myślą!

— Wówczas to napisał list — doniesienie do Prokuratury Rejonowej dla Dzielnicy Łódź-Widzew o wszczęcie postępowania karnego przeciwko małżonkom Czesławowi i Józefie W., którzy w „celu osiągnięcia korzyści majątkowej doprowadzili go do niekorzystnego rozporządzenia majątkiem”.

### ODKRYCIE KART

Małżonkowie W. okłamałi Jacka T. podwójnie: raz, gdy przyjmowali od niego pieniądze i zapewniali o krociowych zyskach, dwa, gdy celowo nie poinformowali go, że w momencie dawania ogłoszenia do prasy toczyła się przeciwko nim egzekucja komornicza u Komornika Sądu Rejonowego w Łodzi XV Rewiru, bowiem wyszło na jaw, że małżonkowie W. nie prowadzą żadnego ogrodnictwa, a mają mnóstwo wierzycieli. I właśnie owi wierzyciele — ci najbardziej niecierpliw — wszczęli przeciwko nim postępowanie egzekucyjne. Rzecz dotyczyła milionowych kwot, odsetek i kosztów sądowych, których małżonkowie W. nie płacili.

Jednocześnie toczyło się także postępowanie egzekucyjne na rzecz Spółdzielczego Banku Ludowego w Łodzi z tytułu niesplacenia kredytu na kontraktację warzyw na łączną sumę 112.840 złotych.

Teraz, kiedy nadszedł list z Krakowa, całą sprawą zajęła się prokuratura. Jak wynika z tego, co przedstawiłem dotąd, nie była ona ani skomplikowana, ani zagmatwana na tyle, by organom ścigania sprawiła specjalny kłopot. Przecież sama technika naciągania naiwnych była dziecinnie prosta i zakrawała na dobry kawał. Ale natynków nie brak, a łatwość zdobycia większej gotówki potrafi oślepić najbardziej przecznych.

Przesłuchiwanym małżonkowie W. niczem nie zaprzeczali, wyjaśniając, że brali bo mieli długi i chcieli te długi spłacić, a za resztę kupił sadzonkę. Bo to przecież logiczne, że jeśli się ma dług, powiedzmy w wysokości 5 lub 7 milionów, to trzeba pożyczyc co najmniej 10 milionów by go spłacić i by jeszcze zostało na życie i na gospodarstwo.

Na pytanie, dlaczego mając tytuł wierzycieli z Łodzi i okolicy, dali ogłoszenie do „Gazety Krakowskiej” Czesław W. odparł, że wciągnęła go ta gra. Był już, to prawda, zadłużony u wierzycieli na 5 mln złotych plus odsetki z tytułu niedotrzymania terminów spłaty, ale raptem było to zaledwie 14 wierzycieli, a przecież w sumie wziął pieniądze w czasie od roku 1978 do 1984 od 42 osób.

Prokuratura wyliczyła, że owe 42 osoby dały małżonkom W. całe 26.000.000 zł!

Kiedy przeglądałem akta sprawy przygotowane do sądu, zwróciłem uwagę na wiek oskarżonych. On — rocznik 1933, a więc po pięćdziesiątce, ona o rok młodsza. Dotąd nie karani, żyjący z sąsiadami w zgodzie, rodzina spokojna. Jeśli więc zapadną wyroki i będą musieli owe 26 milionów odsiedzieć, co wtedy? Aż się nie chce wierzyc, że nie brali takiej ewentualności pod uwagę, że liczyli na „jakoś to będzie”, na cud czy na to, że ludzie darują im milionowe sumy.

W czasie rozprawy sądowej zjawia się świadkowie, ludzie oszukani. I ten, co dał 12.000 zł i ten, co przyniósł małżonkom W. 2.500.000 zł. Nie należy sądzić, że choćkolwiek z nich mieliśmy chrześcijańską dobroćta daruje oskarżonym.

Bardzo w to wątpię.

zaklęta w cme  
wbrew naturze  
od  
ognia stronię  
...  
skrzydła  
blizną haftowane  
nie uniosą już  
...  
bo i dokąd

jak  
życie długi  
tkamy gobelin  
w miłość  
w słońca  
i  
w pulsary  
na  
cztery ręce  
tkamy gobelin  
ku naszym  
szczęściom  
i — udręce

...a może  
by tak  
pół żartem  
pół serio  
... żyć  
śmiać się  
gdy  
umiera —  
gdy  
nadchodzi  
plakać —  
może  
właśnie tak(?)

...kiedy  
będzie mi  
dobrze już  
tak dobrze  
że —  
nie tylko  
s p o k ó j  
to —  
spłec mi  
dłonie  
i  
oczy zamknij  
kiedy  
zapomnę

...tony  
w  
rękach waże  
każde słowo  
mieję  
i —  
wiem  
że  
skruca we mnie  
jak —  
radość na  
srebrne  
wesele

...przemkam się  
skrycie  
przez dzień  
by —  
rady życiowe  
ominąć  
ja  
sama wiem  
dokąd  
mam iść  
by —  
drzwi otworzyć  
nie zginąć

...z pół  
zebrany złotem  
nerwy  
moje razisz  
w —  
ramię twoje  
włópną  
ramieniem się  
stają

...ja nie wiem  
czy  
nie za wielkie  
te  
marzenia  
czy  
choć jedno  
czas  
obejmie —  
miętko

Zofia Kulig

Nielatwo wracać Orfeusz  
nie oglądając się za siebie  
Niesie chwilę radosnego widzenia  
w świt  
w mrok  
nie zdziwione wcale  
jak gdyby nie minęła już  
pora Eurydyki



Piotr Krukowski, Wojciech Piłarski

Foto: Andrzej Brustman

## Pornografia — tytuł chwytny

Kolejna premiera Teatru Nowego na przelocie dwóch dyrekcyj. Wybór i przygotowanie spektaklu przypadło na schyłek kadencji Wojciecha Piłarskiego, gotowy obraz sceniczny przyjmował już nowy kierownik artystyczny i dyrektor Marek Okopiński. To gwoli porządku, gdyż z przedstawień zwykliśmy rozliczać także dyrekcję. Czasem takie podsumowanie wypada fatalnie, jak w przypadku *Legendy* Wyspiańskiego.

Z *Pornografią* Witolda Gombrowicza rzecz ma się inaczej, odlegli jesteśmy od jakiegokolwiek skandalu artystycznego, choć co najmniej równie daleko przedstawieniu do miary wydarzenia, jakim było wystawienie w 1975 roku na tej samej scenie *Operetki* tegoż autora. Dla przeanalizowania przyczyn walorów i słabości nowej premiery zacząć należy od problemów związanych z użytym materiałem literackim i jego adaptacją.

Oprócz zmiankowanej *Operetki* był Gombrowicz autorem dwóch jeszcze utworów dramatycznych: *Iwony księżniczki Burgunda* i *Słubu*. Wszystkie to dramaty stały się przedmiotem zainteresowania wielu teatrów w Polsce, poczynając od Października 1956, kiedy to z osoby pisarza żyjącego na emigracji i z jego twórczości zdjęto pieczęć milczenia i kiedy dość powszechnym zjawiskiem stało się rozsmakowanie w przewrotnym i jedynym w swoim rodzaju pisarstwie. Można stwierdzić, że stosunek do Gombrowicza stał się określonym sprawdzianem postaw intelektualnych inteligencji polskiej.

Jest bowiem Gombrowicz bezlitosnym przemiewcą skostniałych, zinstytucjonalizowanych przez rodzimą hagiografię schematów, utrudniających swobodny przepływ myśli wśród specyficznie polskich problemów. Klasycznym już dziś dziełem rewidującym stosunek do ówczesnych rań jest napisana i opublikowana w 1937 roku w warszawskiej oficynie wydawniczej *Rój* — *Ferdynand*.

Już w tej powieści, jak i wydrukowanym w rok później w *Skamandrze*, ale czekającym potem dwadzieścia lat na wystawienie w teatrze tekście dramatycznym *Iwona księżniczka Burgunda*, dał pisarz wyraz przekonaniu, że dojrzały człowiek nie jest zrealizowaniem tkwiących w nim immanentnie dyspozycji genetycznych i osobniczych, lecz tylko masą plastyczną ugniataną niezależnie od niego, a nawet wbrew niemu, przez zbiorowość czy grupę społeczną. Jest więc każda jednostka ludzka jakby prowokacją dla otoczenia do wywierania na nią najróżniejszych nacisków i kształtowania jej według najsmielszych nawet recept podsuwanych przez usłużną wyobraźnię.

Czy pewnej kontynuacji tego obsesyjnego wątku myślowego nie znajdziemy w napisanej w 1960 roku w Buenos Aires *Pornografii*? Ależ tak. To prawda, że powieść ta powstała z fascynacji autora młodością. I to, zarówno w jej żeńskim jak i męskim wydaniu (tu trop dewiacji homoseksualnych autora, dla naszych rozwa-

zań jednak bez znaczenia). Młodość jest zdaniem pisarza piękna i dlatego godna największej uwagi. Ale zarazem dojrzałość ma nad młodością wyższość. Potrafi, wykorzystując jej brak doświadczenia, urabiać ją na własną modłę. Młody człowiek ma w sobie coś z dyspozycyjnego aktora, któremu narzucić można nie tylko rolę do zagrania, ale także i sposób jej interpretowania, a więc zaprogramować efekt końcowy. Człowiek dorosły kształtujący młodego jest *sui generis* reżyserem decydującym o tym, jakim ów osobnik poddawany obróbce ma się w wyniku tych zabiegów stać, jest demiurgiem wpisującym w nie zapisaną kartę młodości wydumane przez siebie arbitralnie treści.

Tu miesza być może Gombrowicz potencjalne możliwości uformowania młodego człowieka w praktyce życia z uprawianiami pisarza, który jest w tym samym decydującym tworzącym bohaterów swego dzieła literackiego. To utożsamianie życia z literaturą, wzajemne ich tasowanie, dopuszczalne jest w pełni we współczesnym utworze epickim. Struktury kreowane, zmyślone, mogą zastępować realne fakty i sytuacje, tworząc nową rzeczywistość, której on jest jedynym konstruktorem i prawodawcą.

A teraz wyobraźmy sobie adaptację teatralną tak zbudowanej powieści. W jaki sposób wyartykułować ma scena splecione ze sobą dwa światy — rzeczywisty i wykreowany? Jak akcentować pasaż z jednego w drugi bez popelniania niezręczności? Jak wymagać od aktorów, by przy swej fizycznej jednoznaczności, której nie sposób im się wyżyć, tworzyli postacie sceniczne wysnute wprost z myśli i marzeń autora? Nierzeczywiste w swej rzeczywistości scenicznej?

Nie chodzi tu zapewne o zadanie niewykonalne. Teatr współczesny porwał się i na takie sprawy, nieraz z bardzo pozytywnymi rezultatami. Nic takiego nie zdarza się jednak na scenie Teatru Nowego w przypadku wystawienia *Pornografii*.

Owszem. Widoczne są szwy adaptacyjne i owe straty będące ceną przeniesienia utworu dramatycznego na scenę. Rytm powieściowy obcy jest teatrowi, dialog spełnia w epice rolę inkrustacji, nie stanowi wartości sam w sobie, jeśli wyluskać go z otoczki narracyjnej. Trzeba nie lada warsztatu, by tę opozycję epiki wobec teatru wygubić, czy przynajmniej możliwie ją zniwelować. Nie dokona tego sam przykrywacz tekstu bez pomocy reżysera. A czy w omawianym przedstawieniu reżyser pospieszył z pomocą adaptatorowi? Moim zdaniem w minimalnym stopniu.

Fabule *Pornografii* ułokował Gombrowicz rzekomo w warunkach Polski okupowanej przez hitlerowców. Mówię: rzekomo, gdyż łatwo się przekonać, że to okupacja ze snu, wydumana przez autora, posiadająca mało punktów styczności z autentyzmem tamtych czasów. A więc nieautentyczna okupacja, nieautentyczny dworek ziemiański, nieautentyczna krzepa jego właści-

ciela, nieautentyczna jurność młodego Karola... Te wylizankę moglibyśmy kontynuować.

W omawianej nieautentyczności zawiera się nie niezręczność, ale świadomy zamysł Gombrowicza. To — powiedzielibyśmy — nieautentyczność programowa. Wynika ona bowiem ze świadomych niedookreśleń, z pozostawienia luzów dla kunsztownej gry intelektu i wyobraźni. Czy wystarczy zatem, jeśli aktor grający rolę Narratora-Pisarza wylacza się chwilami z akcji scenicznej, z kontekstu innych postaci, i monologuje do publiczności, by rodzila się w ten sposób nowa rzeczywistość, stanowiąca substytut konkretnego działania się? Nie wydaje mi się.

Postawię tezę, że reżyser spektaklu nie znalazł klucza dla przekazu skomplikowanego i zwichrzonego świata gombrowiczowskiego. Chyba przerosła go materia literacka. Albo może zaufał nadmiernie jej sugestywnej sile i potraktował na zasadzie samograja. A *Pornografia* nie jest kijem-samobijem. Związka że nie zaplanowana została przez autora na teatr.

Tu uwaga marginalna. Gombrowicz dał trzykrotnie dowód, że potrafi pisać dla sceny. Tak dojrzały autor jak on dobiera z reguły formę podawczą w zależności od tematu i treści, jakie za jej pośrednictwem chce przekazać. *Operetce* nie nadał więc Gombrowicz kształtu powieściowego, tak jak za najwłaściwszy wyraz dla *Pornografii* widział w ujęciu epickim. Może więc należało uszanować wyczucie pisarza i nie wliwać na siłę w otwór sceniczny subtelnej, mglistej tkanki narracyjnej?

Ale dość dygresji! Omawiamy określoną manifestację artystyczną, fakt z jakim mamy do czynienia w Teatrze Nowym. I tego należy się trzymać.

Odnoszę wrażenie, że jedynym współtwórcą spektaklu, który do końca rozumiał o co chodził scenograf Leszek Mądził. Zaprojektowane przez niego podwieszane nad sceną paldamenty, czy inaczej — fartuchy, z gałęzi i liści, tworzą szereg kurtyn, które w miarę potrzeby są podnoszone jedna po drugiej, by odsłaniać coraz głębiej ukryte kregi ludzkiego wtajemniczenia. Za ostatnią przesłoną znajduje się już pole dla czystej abstrakcji, dla działań intelektualnych. To właśnie tutaj para młodych bohaterów — Hania i Karol — poddawana jest najdziwniejszym manipulacjom zrodzonym z gry wyobraźni Witolda (Narratora) i Fryderyka.

Tak, w pomysłach Mądziła zawarte są sugestie, które mogłyby rozwiązać podstawowy problem przedstawienia, ale z których reżyser z niewiadomych przyczyn nie skorzystał.

A al tory? Robią co mogą, niektórzy nawet odrobinię więcej, ale to wszystko mało. W sumie sprawiają wrażenie grupy zagubionych wędrowców, których zły przewodnik wywiódł na bagna i pozostawił samym sobie. W zasadzie można by ograniczyć się do tego ogólnego stwierdzenia, ale wówczas wykonawcy ukarani zostaliby za winy cudze. Tego chciałoby się im oszczędzić.

Nie można przecież nie dostrzec rzetelnego wysiłku i skupienia prezentowanego przez otwórcę postaci Witolda (czyli Gombrowicza) — Piotra Krukowskiego. Aktor czuje kluczowe znaczenie tych momentów przedstawienia, gdy Narrator wyobcowuje się z dosłowności fabularnej, by wkroczyć na zwiewny grunt świata zmyślnego. Nikt jednak nie wskazał mu kładki, po której mógłby się tam przedostać, nie banalizując tego działania i nie sprowadzając go do wyeksploatowanej formy monologu twarzą do widowni. Tak wyglądać mógł tytrady Don Rodrigo czy Hamlet, ale nie nosiciel perwersyjnej gry gombrowiczowskiej.

Wojciech Piłarski jest znakomitym aktorem charakterystycznym, który na przestrzeni lat ogromnie rozwinął swe możliwości zastosowania w teatrze. Toteż w realistycznych partiach przedstawienia (zawahałem się tu na chwilę: przecież cała *Pornografia* nie jest właściwie realistyczna, to jak się powiedziało świat mający mało punktów styczności z rzeczywistością)... Więcej mówny raczej: w partiach udających realizm — aktorowi udało się stworzyć jedyną i ekspresyjną postać Fryderyka. Ale i on także gubi się w labiryntach i meandrach myślowych autora, dla których w adaptacji zabrakło ekwiwalentu w mowie scenicznej.

Józef Zbiróg świetnie skonstruował postać Hipolita. To ziemianin rodem z witkacowskiego *W małym dworku*. Cóż kiedy nie znajduje dla siebie kontekstu w całości przedstawienia! Podobnie Siemian w wykonaniu *Janusza Kubickiego* (gra go również na zasadzie dublury *Mieczysław A. Gajda*) jest bardzo dobrym szkicem postaci. To samo wreszcie można powiedzieć o *Mirostawie Marcheluk* w roli Pani Amalii. Są to wszystkie postacie sceniczne w poszukiwaniu... reżysera.

Bardzo trudne i niewdzięczne zadanie przypadło w udziale parze młodych aktorów. *Danuta Rynkiewicz* (Hania) i *Jerzy Euszc* (Karol) nie mają w widoku w ogóle materiału na stworzenie postaci. Przypadły im bowiem w udziale role-blankiety. Młodzi ludzie stanowią wszak tylko z woli Gombrowicza propozycję dla starszych: nieważne, jacy jesteśmy! ulepić nas takich, jakimi chcemy, żebyśmy byli! Przy braku koncepcji reżyserskiej całości to role nie zagrania.

I tyle sądów o *Pornografii*. W spektaklu najatrakcyjniejszy jest chyba tytuł. Ale kogoś kto zbyt wiele by sobie po nim obiecywał uprzedzmy od razu: nic z tych rzeczy! Za wyjątkiem białego błysku odsłoniętej babskiej pupy, w pełnym wymiarze, ale na bardzo krótki moment.

Nie ratuje widowiska nawet muzyka *Zygmunta Koniecznego*, która ma tutaj znaczenie czysto ilustracyjne.

Wróćmy do przelomu dyrekcyjnego, od którego zacząłem te uwagi! Markowi Okopińskiemu spektakl *Pornografii* powinien dać do myślenia. Nie wolno w ten sposób marnotrawić reputacji teatru i materiału aktorskiego.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

WITOLD GOMBROWICZ *Pornografia*; adaptacja — Waldemar Zyszkiewicz; reżyseria — Andrzej Maj; dekoracje — Leszek Mądził; kostiumy — Krystyna Szczepańska; muzyka — Zygmunt Konieczny; Teatr Nowy — premiera 27 marca 1985.

1.

Takie jest hasło refleksji poświęconej kilku nowym nazwiskom, których nosiciele mają szansę w niedalekiej przyszłości współdecydować o obliczu literatury polskiej. Jako materiał egzemplifikacyjny potraktowałem przede wszystkim nagrody miesięcznika „Literatura”. Za książkę roku wysokie jury (złożone po części ze znanych, a po części z zasłużonych dla literatury nazwisk) uznało powieść Władysława Terleckiego „Lament”. Werdykt wydaje się bezdyskusyjny, choć konkurowały nie mniej znane utwory: na przykład „Kamień na kamieniu” Wiesława Myślińskiego czy „Krótkie dni” Włodzimierza Paźniewskiego. Jednak nie o tuzach traktował będzie ten szkic. Poświęcę go w pierwszej części debiutantom, w drugiej debiutantom niedawnym.

2.

Jako debiutant roku nagrodę „Literatury” otrzymał Eustachy Ryłski za powieść „Stankiewicz”, drukowaną w numerach „Literatury”

### TADEUSZ BŁĄŻEJWSKI

# Przyszłość literatury?

11 i 12 z roku 1983. W postaci książkowej (współ z powieścią „Powrót”) ukazała się ona rok później. Uderza myślowa dojrzałość tego debiutu, dalekiego od jakichkolwiek nowinek artystycznych. Wyrazista fabuła porusza problematykę „polskiego prowincjonalizmu”. Ten istotny i nader żywoty w naszych dziejach wątek nie wykracza jednak w ujęciu Ryłskiego poza lata pierwszej wojny światowej. Stosunek autora do artystycznej fikcji wyrażony został w „Powrocie”: „Nie będziemy zastanawiać się, co powiedział ten i ów na temat tego czy tamtego, przejdziemy obok, nie dzieląc włosa na czworo, świadomi jednak względności i relatywności wszystkiego, a mówiąc zupełnie bez ogródki, tego właśnie, że każda rzecz będąca przedmiotem opowieści jest absolutnie prawdziwa i zaigana od a do zet”. Podobnie opowieść o Stankiewiczu traktuje historię jako zbiór zaskakujących paradoksów.

Bohaterem „Stankiewicza” — jest syn powstańca styczniowego, wychowany w Rosji. Jego matka wyszła za męża za bogatego Rosjanina, znanego i konesera europejskiej kultury. Syn polskiego powstańca został więc wysokim carskim oficerem. Pewnego razu napotkał kozaka, który obciążł jego ojca — jako buntownika — głowę. I od tej pory rozpoczyna się przewartościowywanie niektórych stereotypów i utwierdzanie innych. W sposób gwałtowny, lecz niejako naturalny, występuje kwestia tożsamości narodowej. Carski oficer bardzo powoli dochodzi do polskości i już nie zdąży — jeśli wolno tak powiedzieć — zrealizować się w niej. Zdąży jedynie w najmniej stosownym po temu momencie wpakować w pierś zabójcy ojca trzy kule.

Bohater Ryłskiego wychowany został na pragmatyka, ale jego rozbudzone emocje poszukują ujścia. Znajdują je w pielęgnacji mitu Polski szlacheckiej, odległej, nierealnej. Mit ten nie wytrzymuje, rzecz prosta, krytyki. Krótka rozmowa z młodzieńcem Polakiem uswiadamia carskiemu pułkownikowi całą uludę marzeń. Jedyną reakcją okazuje się irytacja, gdy mowa o polskich sprawach. Wszystko inne jest dla Stankiewicza czynnym normalnym. Świadczył ma to o złożoności polskich spraw. Po prostu bohater Ryłskiego w gruncie rzeczy nie bardzo wiedział, co zrobić ze swoim polskim pochodzeniem. I takim pozostał do końca swoich dni: pełnym wahań, zagubionym w historii obrońcą istniejącego stanu rzeczy.

Laureat Ryłski w interesującym wywiadzie oświadczył między innymi: „Uważam, że literatura to przede wszystkim opowiadanie — nie filozofia, socjologia, psychologia czy historiozofia, a opowiadanie, które co najwyżej może w swej warstwie znaczeniowej jakoś ku tym dziedzinom i typowym dla nich konstatacjom oscylować. Więc przykazanie, któremu będę holdował, jeśli mój wiek wejdzie w pisarstwo, zawsze będzie brzmiało „Nie nudzić”. Oby powyższe wezwanie zachowało moc w odniesieniu do całej literatury!

Jednym z konkurentów Eustachego Ryłskiego był Andrzej Szymański, autor powieści „Z drugiej strony lustra”. Również on zwrócił się w stronę historii. Jego powieść utrzymana jest w realiach Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Przedstawione w niej postacie i zdarzenia, nawiązujące do postaci historycznych i historycznych wydarzeń, dają przykłady uniwersalnych postaw wobec życia i wobec zmienności losu. Rezoner powieści, młody mężczyzna związany wprawdzie z rewolucyjną władzą, lecz z odrazą obserwujący funkcjonowanie gilotyny, wypowiada sentencję: „Tylko patrzysz na ten świat i nie rozumiesz go. A jak my przeżywamy rzeczywistość? Przecież my nie przeżywamy rzeczywistości, my umiemy tylko porównywać. Ciągle kojarzymy coś z czymś. Jedną rzeczywistość widzimy przez pryzmat drugiej. Pojawia się zbiór metafor, potównych epitetów. Zaczyna się już gra. Karnawał”. W książce Szymańskiego panuje karnawał teroru i śmierci. Trwa „dance macabre”. Z wielkiego

gniewu ludu wyniknąć miała wolność i równość, wyniknąć miało braterswo — cele piękne i wzniosłe. Ich realizację rozpoczęto od zbudowania szafotów. „Z drugiej strony lustra” opowiada o strachu, o paraliżującym strachu, jaki towarzyszy gwałtownym, żywiołowym wydarzeniom społecznym. Autor podporządkował wydarzenia nadrzędemu sensowi, którym jest najbanalniejsza pod słońcem teza o niepowtarzalności ludzkiego życia. Historia w ujęciu Andrzeja Szymańskiego to żywioł pelen wirów, nawalnic, niespodzianek. Człowiek nie dorósł do tego, aby stać się jej podmiotem. Przeszkadza strach i podwójna miara ocen.

Zupełnie inaczej przedstawia się twórczość kolejnego kandydata do nagrody „Literatury” za debiut roku, Czesława Białczyńskiego. Jego powieść „Czwarty na piątą, maj, osiemdziesiąt” pomyślana została jako eksperyment formalny, oparty między innymi na przewrotnym założeniu, aby rzecz czytana wspaniałym odmienną wersję tematu, zaprzeczającą wersję pierwotnej. Temat ten najogólniej nazwany to samotność młodego człowieka, samotność tak zaplątana w gąszczu słów, iż ulegamy niekiedy, wrażeń słowotoku. Wina to po trosze samego narratora, nie tyle jako niepoprawnego gaduły, ale jako człowieka rozdwojonego: każdy fragment wypowiedzi spotyka się z natychmiastową repliką, częstokroć karykaturalną.

A wszystko po to, aby stwierdzić niedoskonałość systemu komunikowania się. Zaprezentowany w powieści eksperyment można poprowadzić dalej — tnąc tekst na coraz mniejsze całości treściowe i podając kolejne odsławy jako sensowny w miarę ciąg dalszy. Nie w tym jednak rzecz. Zamiarem Czesława Białczyńskiego było wciągnięcie czytelnika do gry, której podstawę stanowiłaby daleko posunięta dowolność konstrukcji świata przedstawionego z gotowych elementów, niczym prefabrykatów, czyli fragmentów opisu dostarczanych przez narratora. Motywacja owej gry byłaby — jak przypuszczam — natury epistemologicznej. Wyjaśnialoby to zamierzoną triadę: elementy, późsyntezy, esencja. Po prostu chodzi o posegregowanie zdarzeń w taki sposób, żeby można było odczytać z nich różne sensy, żeby sensy te układały się następnie w inną — wyższą niejako — całość, która z kolei stanowiłaby mogła punkt wyjścia układu dalszego. Kombinacje takie mają za zadanie ćwiczyć umiejętność krytycznej obserwacji. Tak widzi rolę literatury Czesław Białczyński.

Przedstawione książki to debiuty udane, wyróżniające się nie tylko w kontekście tak zwanej młodej prozy. Przy całej ich różnorodności warsztatowej i tematycznej można przecież znaleźć coś wspólnego, pewien — nazwijmy to tak — wyróżnik negatywny. To swoista sztuka uników. Dzisiejsi debiutanci opanowali ją nie gorzej niż debiutanci wczorajsi. Proszę bardzo — albo bezpiecznie wycieczki w stronę historii (co z tego, że przybierające niekiedy postać parabol), albo eksperymentatorstwo formalne! A gdzie dzień dzisiejszy? Gdzie temat stricte współczesny, którego domagają się decydenci i o który proszą czytelnicy?

3.

Można go znaleźć w twórczości Tadeusza Siejaka, niedawnego debiutanta. Pierwsza jego powieść „Oficer” (1981) spotkała się z żywiliwym przyjęciem. Druga powieść — „Próba” (1984) była wiosną roku 1985 najgłośniejszą powieścią polską. Zawdzięczał to autor zarówno tematowi jak i specyficznemu warsztatowi. Polega ona — skrótkowo mówiąc — na odwróceniu schematów, na ożywieniu spetryfikowanych, a nawet skompromitowanych, chwytów literackich. Doza życia i społeczny krytycyzm — oto Siejakowa recepta na interesujące ujęcie tematu współczesnego.

„Oficer” jest powieścią produkcyjną a re-bours. Do szablonowych sytuacji wprowadził autor inne treści, co oznacza w praktyce kompromitację określonego spojrzenia literatury na codzienne życie. Realia pozostają właściwie te same. Młody inżynier podejmuje pracę w dużym zakładzie. Chce być ambitny — zgłasza pozytywny wynalazek. Przełożeni sabotują jednak poczynania inżyniera Kaczmarska, bo nie dopisuje on ich nazwisk pod projektem racjonalizatorskim, bo jest bezpartyjny, bo może stanowić zagrożenie dla osób zajmujących wygodne fotele z drugiej strony biurka. Sabotują skutecznie — domyślać się należy, iż wypadek podczas próby nowego urządzenia pomysłu inżyniera Kaczmarska następuje wskutek zaakceptowania produkcji materiałów dalekich od wymagań normy. „Oficer” stanowi relację z zebrań, na którym odbywa się sąd nad inżynierem Kaczmarskim, relację przepła-

taną retrospekcjami głównego bohatera, utrzymaną w atmosferze gwałtownej, napiętej, czemu służy umiędzynianie przemieszanie technik literackich. Mamy bowiem do czynienia z naturalizmem, ekspresjonizmem, zapisem strumienia świadomości, a wszystko po to, żeby pokazać trudne położenie młodego człowieka, nie mogącego przebić się przez mur obojętności, złośliwości i strachu. Chodzi przecież o to, by młody człowiek poznał prawdziwy smak życia, zanim swe ideały i wiarę przykryje piaszczem w kolorze ochronnym. I przeciwko temu mechanizmowi naszego życia społecznego zwraca się powieść Tadeusza Siejaka.

Autor kompromituje całą rzeczywistość przedstawioną: zreczenie parodiuje nowo-mowę, której przeciwstawia niechlujstwo, a nawet drastyczności mowy codziennej, bałaganowi przeciwstawia uporządkowany system hasel, ambitnemu inżynierowi przeciwstawia typowego „robota” etc. Całość rozgrywa się w obłąkańczym tempie, w niesamowitym rytmie, ludzie nie mają czasu dosłownie na nic, są wiecznie spóźnieni, znajdują się w ustawicznej gonitwie za celami małymi i wielkimi. „Oficer” ma tę zaletę, że obok konkretyzacji nadać mu można walor tak zwanej wielkiej metafory. Przecież nie wszystko należy traktować dosłownie. W tej możliwości interpretacyjnej utwierdza wyeksponowanie napięć przede wszystkim moralnych, posługiwanie się mitologiczną symboliką, chęć uniwersalizowania większości przedstawionych sytuacji.

Dążeniem Tadeusza Siejaka jest przewartościowanie i odświeżenie spetryfikowanej świadomości literackiej i społecznej. Cel ten jeszcze bardziej uwidacznia się w „Próbie”. Jest to powieść o władzy, ale uświęcony tradycją termin „powieść polityczna” chyba tu nie pasuje. Typowa powieść polityczna odsłania mechanizmy rządzenia na szczytach władzy, tam gdzie zapadają decyzje najistotniejsze. Bohaterem „Próby” jest człowiek młody, szybko pnący się po szczeblach politycznej kariery. Startował jako działacz młodzieżowy, jako trzydziestoletni kulek został wojewodą w momencie wprowadzenia reformy administracyjnej. Treścią książki Siejaka są perypetie wojewody Romana Ratajczaka, perypetie głównie natury psychologicznej. To jakby studium kliniczne psychiki niszczonej przez bakcyli władzy. Spustoszenia postępują szybko, a sprzyja im to wszystko, co w posierpniowym rozrachunku nazwano umownie „arogancją władzy”. Dochodzi do tego, iż Ratajczak decyduje się na próbę bezkarności. Z całą świadomością popełnia różne — drobne i poważne — wykroczenia i... nic. Czuje się coraz pewniej jako przedstawiciel władzy, lecz coraz gorzej jako człowiek, jako małżonek, jako ojciec. Pojawia się jakby rozszczepienie świadomości, cechuje je tymczasowość poczynań, występują odruchy zniechęcenia. I znowu mamy do czynienia z próbą, tym razem z rozpaczą próbą zachowania duchowej równowagi. Bohater „Próby” przypomina bowiem tańczącego jastrzębia. Każdy, kto czytał powieść Juliana Kawalca pod takim właśnie tytułem wie, czym się jastrzębi taniec kończy.

Znamienną cechą prozy Tadeusza Siejaka jest ostre widzenie rzeczywistości. „Jak ostro calowany tasak” — pisał kiedyś Grochowiak. Może taka formuła pasuje do pisarstwa Siejaka? W każdym razie ostrość spojrzenia przejawia się w stałej konfrontacji tego, co oficjalne, z tym, co podskórne, zwyczajne, szare i trudne. Bohater „Próby” ma pełną świadomość rzeczowego kontrastu: „Jestem wśród ludu, więc moje słowa będą tendencyjne, mówię, ale ci powiem, Jasinku, sekretarzynie. On chciał powiedzieć, tam w ubikacji, do swoich kumpel z hań, że roboty przybywa, pieniędzy ubywa, mięsa i masła nie widać, ubran roboczych nie ma, premia jest tylko dla zauszników majstra i kierownika zmiany, na wozasy jedzą dyrektorzy, podwyżki dostają lizusy, na początku kwartału ludzie śpią przy maszynach, a na końcu nie śpią wcale, surowców brak, kooperanci nawalają, w ogóle niech cholera chwyci ten sy! pierdolony...”

Zdaniem Siejaka właśnie literatura powinna wyrażać nastroje przejawione, zdecydowane. Autor „Próby” nazywa to ujemnym sprzężeniem zwrotnym. Ujemne sprzężenie zwrotne to metafora zaczerpnięta z elektryki (do czego Siejak jako inżynier zdaje się posiadać szczególne prawo), oznaczająca mechanizm skutecznego zabezpieczenia automatu przed wewnętrzną niespójnością, a nawet samozniszczeniem. I takie właśnie zadanie stawia Siejak obecnej i przyszłej literaturze polskiej.

4.

Jeśli rzeczywistość literatura miałaby spełniać istotną funkcję partnerską w społecznym dialogu nad kształtem naszego życia — to opowiedzieć się trzeba za wariantem zaproponowanym przez Tadeusza Siejaka. Aktualność i polaryzacja postaw, docieklivość psychologiczna i słuch językowy — oto niektóre tylko atuty tej propozycji. Nade wszystko zaś odwaga w podejmowaniu spraw, do których doświadczeni literaci jakoś się nie kwapią.

Pointę dopisze życie. Nim to jednak nastąpi — na prawach pointy tymczasowej przytaczam słowa Siejaka, którym zakończył wspomniany już wywiad: „Te moje książki nie są aż tak dobre. Ale że traktują o współczesności... to na bezrybiu i rak ryba”.

## Z półki recenzenta

### MISERICORDIA

Autor tej książki jest uważany przez Hiszpanów za największego pisarza po Cervantesie. Napisał w swoim życiu ponad sto tomów. W Polsce były wydane jego powieści: „Saragossa”, „Juan Martin el Empeinado” oraz „Dona Perfecta”.

„Misericordia” jest opowieścią o Madrycie i końca XIX w. Autor wysyskał tu swoją znajomość dialektów i gwar jakimi posługiwano się w różnych dzielnicach, wśród różnych narodowości i religii. „Misericordia” doczekała się adaptacji scenicznych, a Teatr Madrycki prezentował ją nawet w Warszawie.

Przekład Zofii Szelepn.

Benito Pérez Galdós: Misericordia. Wyd. Lit. 1985. Str. 226. Cena 150 zł.

### WIEŻOWIEC

Jest to ciekawie skonstruowana powieść: jej czas trwania nie przekracza tygodnia, akcja rozgrywa się w wieżowcu, bohaterami są ludzie różnego wieku i różnej społecznej i zawodowej kondycji, miejscem akcji jest Berlin Zachodni. Autorka stara się powiedzieć nam czym jest wielkie skupisko ludzkie, jak ci ludzie reagują — a właściwie nie reagują — na cudze nieszczęście, czym żyją, do czego dążą. W sumie jest to krytyka współczesnego niepełnego mieszczaństwa, jego przywar, wad i cech.

Przekład Ady Holony i Magdaleny Kurłowskiej.

Ingeborg Drewitz: Wieżowiec. Czyt. 1985. Str. 208. Cena 120 zł.

### ZAPISKI JANA WYKI

Otrzymałmy kolejny tom „Zapisów na karteluskach” Jana Wyki Komunisty, uczestnika wojny domowej w Hiszpanii w latach ostatniej wojny trafia do Anglii, ale rząd londyński nie chce mieć w swojej armii „Czerwonego Polaka”.

Tom „Zapisów”, który tu prezentuję, jest swolnym notatnikiem z pobytu w Hiszpanii, potem w Paryżu, a po upadku Francji — w Londynie. Jest to także obraz Hiszpanii widzianej 40 lat później. Są więc dwa spojrzenia na ten kraj: młodego żołnierza i dojrzałego pisarza i polityka.

Jan Wyka: Zapiski na karteluskach. Hiszpania po czterdziestu latach. PIW 1984. Str. 472. Cena 300 zł.

### TRZY ZORZE DZIEWICZE

Dobrze się stało, że Wydawnictwo Łódzkie wznowiło tę uroczą i madrą książkę. Mówię o „Trzech zorzach dziewiczych” Stanisława Czernika, zbiorze esejów poświęconych ludowości a opartych na wnikliwych badaniach etnograficznych.

Ta książka jest adresowana nie tylko do miłośników poetyki ludowej, do zapalonych tropiciel symboliki i wieloznaczeń, lecz myślę że jest to lektura i dla tych, co umiłowali niekiedy prostego słowa i jego tajemniczą poetykę.

Stanisław Czernik: Trzy zorze dziewicze. Wyd. Łódzkie 1985. Str. 238. Cena 290 zł.

### SAMOSADY II

Jan Rem pisze: „Uważam wszakże, że potrzebne są pewne znaki orientacyjne, które ludzkości odywającym dziś rozmaite ideowe dźwirdki pokazywałyby, gdzie się właściwie znajdują”. Felietony zebrane w kolejnym tomie „Samosadów” są właśnie takimi znakami czasu, zapisami pewnych momentów zdarzeń i spraw, które składają się na naszą współczesną historię.

Jan Rem — to przecież dziś już nie jakiś tam felietonista, ale instytucja. Już czytelników rozpoczyna lekturę tygodnika, w którym Rem publikuje, właśnie od „Samosadów”. A trzeba przyznać, iż nie jest to lektura obojętna.

Jan Rem: Samosady II. KiW 1985. Str. 250. Cena 120 zł.

### PAMIĘTIK STANISŁAWA BRZOWSKIEGO

Wydawnictwo Literackie wypuściło na rynek księgarski reprint pamiętnika Stanisława Brzozowskiego, wydanego raz jedyny w 1913 r. Jest to publikacja na czasie, bowiem zarówno filozofia Brzozowskiego jak i on sam jako człowiek i działacz przeżywa swój renesans.

Czym jest ten pamiętnik? Są to i osadem ludzi współczesnych awantur, pełnym rozważań filozoficznych, historycznych i artystycznych. W sumie — książka ciekawa, kontrowersyjna, zmuszająca do refleksji.

Stanisław Brzozowski: Pamiętnik. Wyd. Lit. 1985. Str. 220. Cena 160 zł.

„Całe życie tak stałam w ostrych światłach proscenium boleśnie czuła, napięta uszczelniająca ciężar tysiąca ludzkich i nie ludzkich spojrzeń omotana w gorące albo zimne oddechy w piaskową burzę oklasków w taksujące milczenie w głody lotu.

A po stronie mej prawej jak również po stronie lewej nade wszystko gdzieś w głębi tak bardzo poza mną przetoczyły się bitwy i zawarte przymierzają układy po przetargach okolicznych guberni. Złożono chryzantemy na niektórych mogiłach pokornymi rękami inwalidów”.

(„Całe życie” — Nina Andrycz)

W tym roku NINA ANDRYCZ obchodzi jubileusz 50-lecia pracy aktorskiej. I gdyby nie telewizyjny program z cyklu „Wybrańcy Melpomeny”, akcentujący na ogólnopolskim forum tę okazję, pewnie pół wieku w teatrze spędzonych przez aktorkę przeszłoby niezauważone.

Osobiście w postaci w polskim teatrze. Przez jednych uważana za królową sceny polskiej (na aktorskim koncie ma bogaty zestaw królewskich ról m.in. Marię Stuart, Lady Makbet w „Makbecie”, Kleopatrę w „Antoniuszu i Kleopatrze”, Lukrecję Borgię w „Cezarze i człowieku”, Reganę w „Kroliu Lirze”, Królową w „Don Carlosie”, Elżbietę w „Marii Stuart”), przez innych umieszczana gdzieś daleko na mapie aktorskich legend.

Uwielbiana przez widzów starszego pokolenia i parodiowana przez młodych.

„Rzeczy zwyczajne bardzo mnie zdumiewają i cieszą. Rzeczy zdumiewające są na scenie moim chlebem powszednim. Taki to już jest los heroini dramatycznej, która zresztą umie czasem zakpić z siebie samej”.

Nina Andrycz

Chciałbym w to uwierzyć, Droga Pani Nino, ale wobec tego, co widziałem i co nadal widzę — nie mogę. Naprawdę. Choć żyję pani jeszcze paru wspaniałych ról i... odejścia od manieri, choćby na dwie godziny, manieri, która kiedyś liczona była na pani dobro, jako perfekcjonizm wykonania roli.

W jubileuszowym programie telewizyjnym Nina Andrycz starała się być sobą, ale znając artystkę prywatnie, wiedziałem, że tu gra kolejną rolę, samej siebie. Upozowana na heroini teatralną mówiła wyuczony na pamięć własny tekst. A może gdyby ktoś z TV odważył się poprowadzić ten program, byłby on mniej pompatyczny i smutny. Wszakże 50 lat przeżytych (przeżytych) w teatrze, to sympatyczna okazja do wspomnień, tym bardziej, że dorobek aktorski Niny Andrycz jest nader ciekawy, a życie byłej premierowej stanowi osobną atrakcję dla zainteresowanych jej osobą i karierą.

Co prawda zestarzały się stare i nowsze kopie taśm z zarejestrowanymi rolami Niny Andrycz i na ich przykładzie widać dziś jak bardzo zestarzały się ówczesne środki aktorskie i jak zmieniła się technika gry współczesnych aktorów. I pewnie dlatego nie oglądamy obecnie Niny Andrycz na dużym i małym ekranie w nowych rolach, nawet w rodzimym Teatrze Polskim gra jedną rolę na dwa-trzy lata.

Ostatni raz widziałem Andrycz na scenie w Warszawie, w węgierskiej sztuce „Karnawał”, opowiadającej historię wielkiej aktorki przedwcześnie spychanej na margines życia przez despotycznego dyrektora teatru i nie znajdującą obrony wśród społeczeństwa, znanego walką o byt i systematycznie ogłupianego przez

telewizyjne dyskusje. Podczas swego bezrobocia Małgorzata (bohaterka sztuki) popada w depresję i decyduje się na strajk głodowy.

Na tle własnych portretów, umieszczona w gigantycznym łożu Andrycz wyglądała wspaniale, grała tak jak za czasów Arnolda Szyfmana, Leona Schillera, Aleksandra Węgierki. Niekonkultowa dla partnerów, wyizolowana na scenie, wielka gwiazda odchodząca już do historii teatru klasycznego. W teatralnym programie zestaw pięknych portretów i najlepszych recenzji nieżyjących już krytyków oraz wiersze aktorów.

Zacytuje jednak fragment krytyki żyjącego i piszącego dziś o teatrze; oto co pisał Krzysztof Pyski o roli Niny Andrycz w „Karnawale” na łamach „Zwierzciada”: „Wydało mi się, że owa zbieżność kariery scenicznego, bohaterki sztuki i Niny Andrycz jest nieprzypadkowa. Węgierskie-

teatrem aktorów, ale i z pewnym poczuciem anachronizmu widowiska. Tak jak kreowana na scenie postać może być symboliczna dla teatru, który już nie wróci, tak samo styl gry Niny Andrycz, zbyt emocjonalny, wyrazisty, akcentujący stany duszy bohaterki należy już do przeszłości. Dziś gra się w sposób bardziej ścisły (może to wpływ filmu i telewizji z ich wielkimi zbliżeniami twarzy aktora na ekranie, gdzie łatwo dostrzec najmniejszy grymas), mniej afektowany, albo idzie się na pełną groteskę, przerysowanie. Sztuka jest nie tylko swoistym przyczynkiem do dzieł teatru. Stanowi też sceniczny traktat o pozie, udawaniu, mistyfikacji, jakie są podstawą sztuki aktorskiej, ale towarzyszą nam również w życiu. W spektaklu zaprzynamy w starożytności konwencji teatru psychologicznego ta sprawa zabrzmiała wyjątkowo silnie”.

wykorzystanie w zawodzie aktorki. Tylko — czy o niewykorzystaniu można w przypadku Niny Andrycz mówić?

Osobowość to niecodzienna, odmienna od wszystkich innych wielkich i niepowtarzalnych. Taką też jawi się w swoich wierszach, jakże bardziej nowoczesnych, współczesnych aniżeli jej role.

Wacław Tkaczuk recenzując poezję Niny Andrycz napisał: „Nazwisko Niny Andrycz na okładce szczupłej książki budzi w pierwszej chwili zdziwienie; takie chude wspomnienia? Jakże więc powściągliwe? A małżeństwo z Józefem Cyrankiewiczem, a egzotyczne podróże, terminowanie u wielkich mistrzów sceny, futro od Stalina? Tom poetycki Niny Andrycz kupuje się — z zaskoczenia. Dość masowego, jeśli 10-tysięczny nakład został już wyczerpany.

Z tego zaskoczenia trudno wyjść, okazuje się, że są to dobre wiersze. A pozna je się po tym, iż aby je przyjąć i zrozumieć — wystarczy sama sobie, bez odnośników kronikarskich czy plotkarskich. W swym najistotniejszym nurcie poezja ta, nie zapierając się ani przez mgnienie oka plci autorki, unika prawie wszelkich manowców kobiecości jako wyróżnika, jako klasyfikacji. Wiersze niekiedy misterne, niekiedy nieco medałe, a gdy zdarza się, że zbyr-patetyczne, to i wtedy proste. Autorstwo tej książki jest zarazem jakby jej treścią, właściwy tytuł tomu powinien brzmieć: „Nina Andrycz — to teatr”. Zatem — zwycięstwo aktorki nad poetką? Czy odwrotnie? Pytam tym śmiało, że odpowiedź jest nieważna. Zawsze mamy do czynienia z fascynującą osobowością”.

Miałem okazję poznać Ninę Andrycz osobiście i spędzić z nią wiele godzin na rozmowach, których efekty publikowały: „Panorama” („Nigdy nie miałam antyków”), „Zwierzciadio” („Nie jestem kontrowersyjna”), „Express Ilustrowany” („Nie mam ulubionej roli”), „Wieczór Wybrzeża” („Nie wszystko na sprzedaż”), „Odgłosy” („Premierowa”). Były liczne przedruki, komentarze, szczególnie ostatniego wywiadu pt. „Premierowa”, ukazującego bardziej kulisy rozmowy aniżeli wypreparowaną, autoryzowaną papkę dla zainteresowanych i jeszcze jeden pean na cześć wielkości gwiazdy. Jaka jest prawdziwa twarz Niny Andrycz? Być może przedstawia ją w swojej książce „Moje spotkania z gwiazdami”, choć bohaterka pierwszego rozdziału broni się przed tym wyróżnieniem i nawet przysłała mi swój protest na piśmie firmowym Izby Adwokackiej.

Co prawda na przedstawienia z udziałem Niny Andrycz nie są organizowane specjalne podziękowania (o czym pisał kiedyś sam Boy) i gwiazda jej dawno już nie świeci ostrym i magnetyzującym blaskiem. Ale aktorka ma swoje miejsce w historii polskiego teatru i to w niewielkiej grupie sławnych i najlepszych. Warto o tym wiedzieć i pamiętać przy okazji jej jubileuszu, o którym chyba trochę zapomniano, choć znając Ninę Andrycz domyślałam się, że ona sama nie chce przypominać ile to już lat chodzi po scenie.

„To nic, że jeszcze dokuczają kolana ostabłych  
drzenie  
a rozeschnięte krzesła tak skrzydła gdzieś obok  
sceny.  
Już zaraz wbiegnę, odśpiewam modlitwę dziewięć  
litrycznych  
na gałąź warkocz zarzucę i zwinę lekko i  
ślicznie.  
To Teatr! Koło magiczne pod księżycem  
umownym.  
Tu mogę wieczorem płakać i wierzyć w potęgę  
słowa.  
(„To Teatr” — Nina Andrycz)

BOHDAN GADOMSKI

## Jubileusz Niny Andrycz



Foto: Zofia Nasierowska

mu autorowi udało się bowiem ukazać coś w rodzaju najbardziej charakterystycznego kanonu ról, które musiała zagrać każda wielka aktorka naszej epoki. Naszej, to powiedziane z pewną przesadą. Ta epoka do nas już nie należy, skończyła się, odeszła wraz z przyjeźdem władzy w teatrze przez reżyserów. Spektakl w Teatrze Kameralnym, który nasuwa powyższe refleksje, jest czymś w rodzaju benefisu jednej z najwybitniejszych przedstawicielek młotowego już chyba teatru — nazwijmy go — psychologicznego. Postać starej aktorki została nakreślona bezbłądnie, jest to całkowita kreacja ludzkiej osobowości, bogata w subtelne odcienie i niuanse, dostarczająca wiarygodnej wiedzy o kondycji artysty. Oglądałem to przedstawienie z główną rolą Niny Andrycz z odrobiną może nostalgii za

Od czasu tego przedstawienia minęły trzy lata, Nina Andrycz zagrała tylko jedną rolę na scenie, wystąpiła w łódzkim Teatrze Wielkim na koncercie z okazji Dnia Matki, wydała tomik wierszy. Nie zmieniła się, co szczególnie zauważalne było w wyjątkowo patetycznej interpretacji osobistego wiersza o starej matce, drugi wiersz wycięto, do pierwszego dodano podkład muzyczny.

W książce wydanej w 1967 roku Edward Csa-to tak pisał o Ninie Andrycz: „Prostota nie jest jej domeną, jej rysunek postaci zmierza raczej do kunstowanej niezwykłości. W jej rolach najznakomitszych etykietalny pozór kontrastował (...) z psychiką bohaterki, szarpanych przez nie zaspokojone namiętności”.

Maria Czanerle w książce „Panie i panowie teatru” (wydanej 8 lat temu) uzupełnia: „Aktorstwo Andrycz bywa jak dzieło sztuki, które zadziwia przede wszystkim perfekcyjnym wykonaniem. Aktorka wydaje się przestaniac osobę dramatu, nie dając widzowi zapomnieć o swej urodzie i metodzie. Nawet grając postacie poszkodowane przez los, które winny budzić współczucie, robi to tak wspaniale, że zamiast litości budzi podziw”.

„Zasypiam o trzeciej nad ranem  
gdy mądre ptaki głos ćwiczą:  
jeszcze ceruję swą ciszę  
oddzielam myśli od łez  
słowa oczyszczam z kurzu  
ostrożnie jak chore perły.  
A za progiem ktoś chrząka  
— to wleprz!  
Najajutrz przeczytam w gazecie  
gdy mądre ptaki się budzą.  
„Artystka grała z talentem”.  
Kiedy? Kasztany z ognia  
wyjęte już nie smakują.  
Słowa wiotcząca, bledną...  
Z talentem? Hm... A wie pan  
co to jest?”

(„Artystka grała z talentem” — Nina Andrycz)

Nina Andrycz gra bardzo rzadko, choć jej wrodzona witalność, energia pozwalają jej grać dużo (nawet codziennie) w 70 roku życia. Bezczynność znosi źle, uważa ją za najgorszą z rzeczy na świecie. Wydany przez „Czytelnika” tomik wierszy „To Teatr” to antidotum na nie-

## „Czarna” muzyka w natarciu

GRZEGORZ WALENDA

Nie sposób dziś mówić o wydarzeniach w świecie muzyki rozrywkowej nie wymieniac takich nazwisk jak Tina Turner, Stevie Wonder czy Michael Jackson. Ciemnoskórzy wykonawcy cieszą się niebywałą popularnością, a ich twórczość zyskuje coraz większe uznanie krytyków. Zwłaszcza rynek amerykański zdominowany jest przez przedstawicieli „czarnej” muzyki. Niedawno wielu z nich znalazło się w gronie laureatów liczących się nagród przyznawanych za wybitne osiągnięcia artystyczne. Tina Turner zdobyła aż trzy nagrody Grammy, uzyskując tytuł najlepszej wokalistki w kategorii muzyki pop oraz rocka. Ponadto nagrana przez nią kompozycja „What's Love Got to Do With It” uznana została za najlepszą piosenkę ubiegłego roku. Również Prince otrzymał trzy nagrody Grammy. Wyróżniono jego płytę „Purple Rain” oraz utwór „I Feel For You” napisany dla ciemnoskórzej piosenkarki Chaka Khan, której przypada w udziale tytuł najlepszej piosenkarki rhythm and bluesowej. Reprezentantów „czarnej” muzyki nie zabrakło też wśród laureatów tegorocznych Oscarów. Stevie Wonder otrzymał nagrodę za piosenkę „I Just Called to Say I Love You” pochodząca z filmu „The Woman In Red”, a Prince — za utwory ze ścieżki dźwiękowej obrazu „Purple Rain”.

Na oszałamiający sukces ciemnoskórzych wykonawców złożyło się wiele przyczyn. Na pewno dużą rolę odegrał ich talent. Czyżby więc dopiero teraz się ujawnił? Nie sądzę. Wielu wykonawców od dawna tworzy i nagrywa udane piosenki które jednak nie zawsze docierały do tak dużej liczby słuchaczy. Niektórzy krytycy twierdzą, że przedstawicielom „czarnej” muzyki pomogła współpraca z białymi wykonawcami. Gdy słynny longplay „Thriller” wspiął się na szczyt światowych list bestsellerów

pięć, jednak wyprzedził tym razem wszystkich swoich rywali z USA (autor „Billie Jean” nie wygrał w tym roku w żadnej kategorii). Sądzę, iż warto poznać sylwetkę tego ciemnoskórego piosenkarza, zwłaszcza że podobno nagral w lutym dla firmy fonograficznej MOTOWN nowe piosenki, a więc wkrótce należy spodziewać się jego kolejnej płyty.

Kilka lat temu Lionel Richie przedstawił się nam jako aktor i piosenkarz w filmie „Dzięki Bogu już płatek”, w którym wystąpił też Inni wykonawcy z kręgu muzyki dyskotekowej. Richie śpiewał jeszcze wtedy z grupą The Commodores — jedną z gwiazd wytwórni MOTOWN. Zespół powstał w 1969 roku i działa do dziś. Odejsie Lionel Richie osłabiło nieco zainteresowanie grupą, jednak jej najnowszy longplay, zatytułowany „Nightshift”, miał wielu zwolenników. Był to już 14 album The Commodores. W ciągu kilkunastu lat działalności Lionel Richie i jego koleżki nagrali wiele przebojowych piosenek. Szczególnie ciepło przyjmowano kompozycje Richiego. Możli- we, że powodzenie takich utworów jak „Easy”, „Three Times A Lady”, czy „Sail On” zadczydowało o tym, że ich autor zaczął myśleć o karierze solowej.

Jego marzenie spełniło się, gdy Kenny Rogers poprosił go o napisanie piosenki. Richie skomponował wówczas utwór „Lady”, który w wykonaniu słynnego piosenkarza country stał się wielkim przebojem. W 1981 roku dużym powodzeniem cieszyło się nagranie „Endless Love”. Tym razem Richie wystąpił w roli wykonawcy, a towarzyszyła mu Diana Ross. Kolejnym etapem w jego karierze był pierwszy samodzielny longplay. Album zatytułowany „Lionel Richie” ukazał się w 1982 roku. Znalazł się na nim m. in. utwór „Truly”, który przyniósł ciemnoskóremu piosenkarzowi pierwszą nagrodę Grammy oraz tytuł najlepszego wokalisty muzyki pop.

„Moja Babcia” — wspomina Richie — udzielała lekcji gry na pianinie. Jej ulubionymi kompozytorami byli Bach i Beethoven. W szkole średniej zetknąłem się z nagraniami The Supremes i The Temptations, a ponieważ mieszkałem na południu, trudno było nie słuchać muzyki country. Wielostronne zainteresowania muzyczne piosenkarza są dziś widoczne w jego twórczości. Bardzo dużo zawdzięcza Normano-

nię, jednak wyprzedził tym razem wszystkich swoich rywali z USA (autor „Billie Jean” nie wygrał w tym roku w żadnej kategorii). Sądzę, iż warto poznać sylwetkę tego ciemnoskórego piosenkarza, zwłaszcza że podobno nagral w lutym dla firmy fonograficznej MOTOWN nowe piosenki, a więc wkrótce należy spodziewać się jego kolejnej płyty.

Kilka lat temu Lionel Richie przedstawił się nam jako aktor i piosenkarz w filmie „Dzięki Bogu już płatek”, w którym wystąpił też Inni wykonawcy z kręgu muzyki dyskotekowej. Richie śpiewał jeszcze wtedy z grupą The Commodores — jedną z gwiazd wytwórni MOTOWN. Zespół powstał w 1969 roku i działa do dziś. Odejsie Lionel Richie osłabiło nieco zainteresowanie grupą, jednak jej najnowszy longplay, zatytułowany „Nightshift”, miał wielu zwolenników. Był to już 14 album The Commodores. W ciągu kilkunastu lat działalności Lionel Richie i jego koleżki nagrali wiele przebojowych piosenek. Szczególnie ciepło przyjmowano kompozycje Richiego. Możli- we, że powodzenie takich utworów jak „Easy”, „Three Times A Lady”, czy „Sail On” zadczydowało o tym, że ich autor zaczął myśleć o karierze solowej.

Jego marzenie spełniło się, gdy Kenny Rogers poprosił go o napisanie piosenki. Richie skomponował wówczas utwór „Lady”, który w wykonaniu słynnego piosenkarza country stał się wielkim przebojem. W 1981 roku dużym powodzeniem cieszyło się nagranie „Endless Love”. Tym razem Richie wystąpił w roli wykonawcy, a towarzyszyła mu Diana Ross. Kolejnym etapem w jego karierze był pierwszy samodzielny longplay. Album zatytułowany „Lionel Richie” ukazał się w 1982 roku. Znalazł się na nim m. in. utwór „Truly”, który przyniósł ciemnoskóremu piosenkarzowi pierwszą nagrodę Grammy oraz tytuł najlepszego wokalisty muzyki pop.

„Moja Babcia” — wspomina Richie — udzielała lekcji gry na pianinie. Jej ulubionymi kompozytorami byli Bach i Beethoven. W szkole średniej zetknąłem się z nagraniami The Supremes i The Temptations, a ponieważ mieszkałem na południu, trudno było nie słuchać muzyki country. Wielostronne zainteresowania muzyczne piosenkarza są dziś widoczne w jego twórczości. Bardzo dużo zawdzięcza Normano-

wi Whitfieldowi oraz spóacie kompozytorów Holland, Dozier i Holland. Dzięki nim — jak twierdzi — nauczył się komponować oraz pisać teksty, które przyciągają uwagę słuchacza.

W 1983 roku ukazał się drugi solowy album Lionela Richie. „Can't Slow Down” jest kontynuacją stylu, który znamy z poprzedniej płyty oraz z nagrań zarejestrowanych z grupą The Commodores. Przeważają nastrojowe ballady o miłości, takie jak „Hello”, „Stuck On You”, czy „Penny Lover”. Utwory te w ubiegłym roku ukazywały się na singlach przynosząc wykonawcy uznanie słuchaczy i krytyków. Podobną rolę też kompozycja „All Night Long”, którą znamy m. in. z telewizyjnej Wi-deoteki.

Wkrótce po wydaniu wspomnianego long- playa Lionel Richie rozpoczął swoje pierwsze samodzielne tournée. Towarzyszył mu zespół instrumentalny pod kierunkiem Grega Phillin- ganesa. W recenzjach z koncertów spotkać można było wiele pochwał pod adresem wykonawcy, który okazał się nie tylko utalentowanym piosenkarzem i kompozytorem, ale również znakomitym showmanem.

Zachęciłem sukcesami swoich sławnych kolegów, także Inni piosenkarze z kręgu „czarnej” muzyki zaczynają walczyć o prymat w świecie rozrywki. Pierwszą płytę solową wydał niedawno gitarzysta grupy The Commodores Thomas McClary. Nieźle radzi sobie Rockwell. W ubiegłym roku zachwycaliśmy się longplayem „Somebody's Watching Me”, a już ukazała się w sprzedaży kolejna jego płyta zatytułowana „Captured”. Warto dodać, że ciemnoskórzy wykonawcy często sami komponują, piszą teksty i aranżują swoje utwory. Nierzadko też samodzielnie rejestrują w studiu partie wszystkich instrumentów i zajmują się produkcją nagrań.

Coraz więcej piosenkarzy i zespołów związanych niegdyś wyłącznie z rhythm and bluesem zaczyna liczyć się w muzyce pop, która ma dziś najliczniejsze grono wielbicieli. Z kolei elementy bluesa można odnaleźć w twórczości wielu białych artystów estrady. Słowem „czarna” muzyka w natarciu.

## POCHWAŁA CZASU ZAPRZESZLEGÓ

Czas zaprzyszły jest reliktem. Nigdy nie słyszy się go w mowie, bardzo rzadko spotyka się go w piśmie. Nie jest używany. Jeżeli zaś zostanie użyty przez autora, zostanie skreślony przez redaktora. Wychodzi bowiem redaktor z założenia, że forma czasu zaprzyszłego jest ornamentem, zupełnie niezrozumiałym dla czytelnika. Co nie zmienia sprawy, że spotkanie w tygodniku czasu zaprzyszłego działa na czytelnika, wrażliwego na urok języka polskiego i oznajmionego trochę z łaciną oraz innymi językami, odświeżająco. I podniecająco: co najmniej tak samo, jak spotkanie grzybiarza z borowikiem królewskim.

Czas zaprzyszły jest przyprawa, którą stosować należy z wyjątkowym umiarem, a jednocześnie z najwyższą maestrią. Użyty w nadmiarze — niszczy smak potrawy pisarskiej. Użyty źle — śmieszny.

Właśnie dlatego, i właśnie jako relikty, nie powinien być tepiony. Prawdą jest, że „naród” czasu zaprzyszłego „nie wyczuwa” i „nie kontaktuje” go, zwłaszcza od czasu skreślenia łaciny z programu szkoły średniej. Nieszczęście polega na tym, że również niektórzy piszący czasu tego nie czują — astosując, popełniają elementarne błędy. Czytam np. na łamach „Odgłosów” (nr 13/85) w liście: „byłem wtedy zapnumerowałem”. Horrendum! Dlaczego redaktor, tym razem wyrozumiały dla plusquamperfectum (chwała mu!) nie poprawił automatycznie formy błędnej na poprawną: byłem był wtedy zapnumerowałem, względnie: byłem wtedy był zapnumerowałem, względnie: wtedy byłem był zapnumerowałem?

Chronić czas zaprzyszły, bezwzględnie tepić należy hybrydy zaprzyszło-przeszłe. I oby na łamach „Odgłosów” częściej, niż dotąd, pojawiała się forma plusquamperfectum — stanowiąca dzisiejszy sprawdzian maestrii językowej.

Na czym kończą, skoro przyrzekłem był onegdaj skrać się. Nie mogę jednak powstrzymać się przed postawieniem pytania: czy „puszczenie” hybrydy zaprzyszło-przeszłej oznacza, iż redakcja nie ingeruje w teksty czytelników nawet pod względem gramatyczno-ortograficznym? Jeżeli tak, to jest to milowy krok w przednawrotki odzyskiwania wzajemnego zaufania. Powinno to być jednak zaznaczone expressis verbis, aby inni czytelnicy nie kierowali ewentualnych pretensji pod adresem redaktorów, tym razem (wyjątkowo?) niewinnych.

JAMNIK

## POLAKÓW PORTRET WŁASNY KONKURS NA DZIENNIKI 1985 R.

Polska jest krajem wyjątkowego w świecie rozkwitu pamiętnikarstwa ludzi pracy — stanowiącego dzięki instytucji konkursów od przeszło 60 lat przejaw historii własnej narodu i świadectwo jego możliwości kulturowych. Nowym gatunkiem pamiętnikarstwa — dającym pełniejszy i cenniejszy materiał źródłowy — są konkursowe dzienniki miesiąca lub roku życia ludzi różnych pokoleń i zawodów.

Przed 10 laty znaczną liczbę takich konkursowych dzienników roku zgromadziły w związku z XXX-leciem Polski Ludowej zainteresowane instytucje. Obecnie na XL-lecie ludowej ojczyzny, w porozumieniu z Radą Krajową PRON i Narodową Radą Kultury, Centrum Pamiętnikarstwa Polskiego, powtarza ten konkurs w poszerzonej postaci — ażeby przed półwieczem Polski Ludowej przygotować 10-tomową serię wydawniczą: „Polaków portret własny — pamiętnikarski Kolberg przełomu XX i XXI wieku”.

Celem konkursu jest uzyskanie prawdziwego wizerunku życia codziennego Polaków ze wszystkich środowisk społecznych, regionów, grup zawodowych i pokoleń — ich pracy i wypoczynku, życia kulturalnego, przemysłu i dążeń — w okresie od 1 stycznia do 31 grudnia 1985 roku.

Nikt inny nie potrafi stworzyć takiego wizerunku lepiej, aniżeli sami pamiętnikarze poprzez swoje codzienne zapiski.

Zwracamy się zatem z prośbą o udział w tym ważkim konkursie do robotników i chłopów, pracowników umysłowych i inteligencji twórczej, do spółdzielców i rzemieślników — do kobiet i mężczyzn, studentów i młodzieży szkolnej, do pracujących zawodowo i w domu, do rencistów, emerytów i kombatantów.

Z zapisków przedstawicieli wszystkich wymienionych środowisk społecznych powstanie wielka panorama życia, myśli i dążeń narodu.

Każdy uczestnik konkursu powinien sprządać zapisy dziennikowe wedle własnego pomysłu i układu — tak jak niepowtarzalne jest życie każdego człowieka.

Z dotychczasowych doświadczeń wiadomo, że główne dziedziny takich zapisów dziennikowych — to praca lub nauka, życie rodzinne i kontakty z innymi ludźmi, czas wolny, wypoczynek i życie kulturalne, działalność społeczna czy tzw. hobby, plany i zamierzenia wobec siebie, czy dzieci, aprobata i krytyka, postulaty i przyszłościowa refleksja obywatelska.

Przed przystąpieniem do zapisków codziennych, dobrze jest na wstępie na kilku stronkach ogólnie zaprezentować siebie, rodzinę i miejscowość zamieszkania. Uczestnikom konkursu gwarantujemy pełną dyskrecję i anonimowość. Na życzenie nazwiska i nazwy miejscowości zostaną pominięte lub zmienione.

Dla oceny nadesłanych dzienników powołany zostanie Sąd Konkursowy, który przyzna:

- I nagrodę w wysokości 50.000 zł;
- II nagrodę w wysokości 40.000 zł;
- III nagrodę w wysokości 30.000 zł;
- IV nagrodę w wysokości 20.000 zł;
- oraz 12 wyróżnień po 5 tys. zł każde.

Sądowi Konkursowemu przysługuje prawo innego podziału nagród, a nadesłane dzienniki pozostają u organizatorów dla celów badawczych i wydawniczych. Bardzo prosimy o wcześniejsze zgłoszenie zamiaru uczestniczenia w konkursie pod podanym adresem. Wysyłamy wtedy pełny tekst odczytu konkursowej i dodatkowe informacje. Dla chętnych przewidujemy II etap konkursu na zapisy folklorystyczne typu Kolbergowskiego — z odrębnymi wysokimi nagrodami. Pożądanym jest przysyłanie fragmentów powstającego dziennika co miesiąc lub co kwartał.

Sąd Konkursowy rozpatrywać będzie zapiski prowadzone przez najmniej przez 3 miesiące.

Organizatorzy dołożą starań ażeby konkurs rozstrzygnąć do 22.VII.1986 r.

Dzienniki konkursowe w maszynpisie lub czytelnym rękopisie — ewentualnie z godłem i pełnym adresem do wiadomości organizatorów — prosimy przesyłać pod adresem: Centrum Pamiętnikarstwa Polskiego, ul. Nowy Świat 18/20, I p. 00-953 Warszawa

## PAMIĘTNIKI SĄ POZYTECZNE

We wznowionym technika fotooffsetowa „Młodym pokoleniu chłopów” Józefa Chałasińskiego — obok wprowadzenia i posłowa Jana Szczepańskiego — znalazły się ponadto z inicjatywy pracowników Gabinetu Dorobku Naukowego Józefa Chałasińskiego, mieszczącego się w Domu Pamiętnikarstwa w podwarszawskim Rudnie, nazwiska wszystkich 1544 pamiętnikarzy, faktycznych współautorów tej wielkiej księgi międzywojennej wsi polskiej.

Niewielki nakład 2,800 egzemplarzy i wysoka cena 3,800 zł tych czterech początkowych tomów Dzieł Wybranych 15-tomowej edycji w LSW — nie stwarzają możliwości dotarcia fundamentalnego dzieła wybitnego socjologa wsi i ideologa ruchu młodochłopskiego nawet do bibliotek gminnych, nie mówiąc już o dziesiątkach tysięcy działaczy ludowych i rozbudzonych intelektualnie rolników, czy setkach tysięcy inteligentów rodowodu chłopieckiego. Zanim jednak dorobimy się tak potrzebnego następnego masowego i taniego wydania tej wyjątkowej księgi o godności rolnika i walorach kultury chłopieckiej, potrzebne jest spopularyzowanie czołowych chłopieckich współautorów dzieła Józefa Chałasińskiego oraz zachęcenie ich oraz członków rodzin i innych mieszkańców ich wsi do kontynuatorskiej pracy pamiętnikarskiej.

Idea spopularyzowania chłopieckich współautorów dzieła Chałasińskiego i zachęcenia ich oraz bliskich i sąsiadów do pracy kontynuatorskiej mogłaby zostać zrealizowana w drodze upowszechnienia nazwisk pamiętnikarzy i nazw wsi. Oczywiście, należałoby to połączyć z popularyzacją treści wspomnień i wątków analiz naukowych. A w ślad za tym mogłyby pójść reportaże z tych wsi i wywiady z żyjącymi autorami wspomnień, członkami ich rodzin i sąsiadami — zapoczątkowane już zresztą przez „Tygodnik Kulturalny”. Kilku uczestników tego konkursu — jak Czesław Grądzki, Stanisław Elcser czy Wacław Daruk — szeroko są znani z udziału w powojennych konkursach i z autorstwa poczytnych książek.

Sędziwy Andrzej Urban z Lutycy k. Rzeszowa — współautor „Pamiętników chłopów” IGS — zgłosił przed laty prof. J. Chałasińskiemu koncepcję utworzenia przy prasie chłopieckiej wspólnego ogólnokrajowego Klubu Pamiętnikarzy i Publicystów Chłopskich. Idea ta warta jest zrealizowania i połączenia ze sprawą popularyzowania chłopieckich współautorów „Młodego Pokolenia Chłopów”. Tak autentyczny i szeroko promieniujący Klub Twórców Kultury Chłopskiej mógłby znaleźć oparcie i miejsce spotkań w salach Gabinetu Dorobku Naukowego Józefa Chałasińskiego w Rudnie, 05-470 Koźbieł, woj. Siedlce, gdzie są ocalałe oryginały 1.544 wspomnień i tysiące innych.

## CENTRUM PAMIĘTNIKARSTWA POLSKIEGO

## NIE PRZECZYTAŁA OSTATNIEGO WERSZA

Annę Domagałę-Jakucę poznałem niespełna pół roku temu na konfrontacjach literackich RSTK — Łódź'84. Została zaproszona jako uczestniczka konkursu literackiego RSTK — na rozstrzygnięcie. Otrzymała trzecią nagrodę w dziale poezji.

Z wyglądu niepozorna, szczupła kobieta, ubrana skromnie. Pamiętam, siedziała w towarzystwie koleżanek i kolegów przy ostatnim stoliku na sali Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Dobieszewku. Czula się jako niepewnie w nieznanym jej towarzystwie. Poproszona o prezentację swoich wierszy — grzecznie lecz stanowczo odmówiła. W czasie późniejszym również nie starała się prezentować swoich utworów. Wolala pisać, niż czytać. To była cała Ania. Nieśmiała i skromna, spokojna, nie zrucająca się w oczy. A jednak w bliższym spotkaniu, poznaniu, wzajemnym dało się odczuć niezwykłą wrażliwość i samokrytyczny autorki zarówno do swojej twórczości oraz innych. Jako członek Społecznego Zespołu Redakcyjnego przygotowywanego w tym czasie do druku — almanachu literackiego, potrafiła należycie ocenić zebrany materiał, by wybrać utwory najlepsze, najbardziej dojrzałe.

Sama debiutowała dość wcześnie, będąc uczennicą szkoły podstawowej. Skrzętnie zbierała czasopiśma zamieszczające jej poezje. Poezja Ani była prosta, zrozumiała dla czytelnika. Wiersze krótkie lecz treściwe. Forma i treść przemyślana, starannie dobiegana bez huraoptyzmu. Ważyła każde słowo, zwrotek, za nim przelała na papier. Pisała również wiersze dla dzieci, dla synka, ukochanego nad życie. Twórczość ta raczej nie była dotychczas znana szerszemu ogółowi, za wyjątkiem najbliższej rodziny, niektórych z nas. Być może zostanie właściwie przyjęta, oceniona przez znawców literatury.

Poezja subtelna, poruszająca problemy egzystencjonalne, określająca osobowość zagubionego człowieka w dezintegrowanym świecie współczesnym. Tak wypowiada się na temat poezji Ani dr. Henryk Pustkowski z UL.

Ludzie pióra to seismografy rejestrujące wstrząsy — pisze Edward Kolbus kierownik Działu Literatury Pięknej Wydawnictwa Łódzkiego. W przypadku Anny Domagały-Jakucy ten zapis urwał się nagle 10 kwietnia 1985 r. Autorka zmarła w kwiecie wieku. Intensywnie rozwijająca się twórczość brutalnie przerwana została w dwudziestym ósmym roku życia Powikłania pogrypowe, zapalenie płuc, stało się przyczyną zgonu autorki pięknych wierszy. Ostatni ukazał się na łamach „TR” nr 8 z 11 kwietnia. Ania nie mogła go zobaczyć, przeczytać. Nie żyła. Pozostawiła po sobie sporo wierszy.

WŁADYSŁAW BISZEWSKI

PS. Na ostatnim posiedzeniu Zarządu RSTK, Sekcji Literacko-Publicystycznej podjęto uchwałę założenia księżeczki PKO na nazwisko osieroczonego syna, pozostającego pod opieką dziadków. Pierwsza wpłata została dokonana z dobrowolnych składek członków RSTK i posiadanej funduszu stowarzyszenia w kwocie 6100 zł.

## SECESJA U NATURYSTÓW

Aktyw naturystyczny zebrany w Łodzi, w dniu 13 kwietnia 1985 r. tworzy grupę inicjatywną, mającą na celu powołanie Polskiego Towarzystwa Naturystycznego.

Grupa ta nie identyfikuje się z żadną działającą dotychczas na terenie PRL organizacją o podobnym charakterze. Biorąc pod uwagę żywiołowy, nie kontrolowany rozwój ruchu naturystycznego przyjmuje ona na siebie ciężar jego zorganizowania i właściwego ukierunkowania. Jesteśmy przekonani, że spełniamy w ten sposób oczekiwania większości polskich naturystów.

Zaniepokojeni jesteśmy pojawiającymi się błędami we właściwym rozumieniu naturyzmu. Autentyczny naturyzm mający psychicznie i fizycznie uzdrowić człowieka przez zbliżenie go do natury bywa utożsamiany ze swobodą seksualną, wybujałym erotyzmem, rozwiązłością, pozabawieniem hamulców moralnych. Liczne publikacje w prasie, audycje radiowe, spektakle w telewizji są wymownym świadectwem tego niepokojącego stanu rzeczy.

Analizując jego przyczyny dochodzimy do wniosku, że główną winę ponosi tu człowiek kreujący się na lidera całego polskiego ruchu naturystycznego — Sylwester Marczak. Od dziesięciu lat znany jest on szerokiej opinii publicznej jako prezes faktycznie nie istniejącego Polskiego Towarzystwa Naturystycznego. Naturyzm utożsamia on wyłącznie z nagością proponowaną w każdych warunkach. Z jego inicjatywy mnożą się wszelkiego rodzaju imprezy plażowe i restauracyjne, mniej lub bardziej kameralne, czy też wręcz masowe. Bulwersują one opinię publiczną i samych naturystów. Zamiast atmosfery spokoju, relaksu, wzajemnego szacunku szerzą się rozjęte propagandowo, hałaśliwe, moralnie naganne imprezy.

Obserwujemy coraz więcej inspirowanych przez niego inicjatyw o wymowie podejrzanej, bądź nawet zgola jednoznacznej, jak np. Klub Malżeński, Klub Szuki Erotycznej czy Agencja Fotomodelek.

Jednym z ostatnich przykładów takiej działalności był udział Sylwestra Marczaka w programie TV „Secesy”. Pojęcie naturyzmu zostało tutaj zestawione na równi z pornografią, prostytucją i dewiacjami seksualnymi.

Karygodna forma organizacyjna tzw. „Balu Naturystów” w lokalu „Trojka” w Warszawie owocowała fotoreportażem „Balanga” w tygodniku „Itd.” nr 10 z dn. 1985.03.10, reportażem przynoszącym niewątpliwą szkodę środowisku prawdziwych naturystów. Kolejną kompromitacją była impreza „Topienie Marzanny” opisana w „Sztandarze Młodych” z dn. 1985.04.05.

Głęboko zaniepokojeni wyrażamy swoje stanowcze NIE wobec takiej działalności. Człowiek będący autorem „Deklaracji Ideowej PTN” odszedł od myśli w niej zawartych tak daleko, iż uważamy, że dalsza obecność jego w ruchu naturystycznym jest nie do przyjęcia.

Brak jasnej struktury organizacyjnej uniemożliwia wywieranie jakiegokolwiek nacisku na wypaczone ludzkie postawy. Nie możliwe jest eliminowanie osób czy inicjatyw obcych ideom czystego naturyzmu. W związku z tym zwracamy się do kompetentnych władz z prośbą o rejestrację Polskiego Towarzystwa Naturystycznego.

Nie zgadzamy się z otrzymywanymi przy niepomysłnych próbach rejestracji argumentami o braku zapotrzebowania społecznego oraz o spełnianiu naszych celów statutowych przez inne, działające już instytucje. Naturyzm jest ruchem nie mającym swego odpowiednika, a jego rozwoju w Polsce nie można i nie należy hamować.

We wspólnym — naszym i władz — interesie leży, aby przybierał on prawidłowe formy, aby nie było w nim bulwersujących wypaczeń. Z tego też względu uważamy zarejestrowanie ruchu, udzielenie osobowości prawnej polskiemu naturyzmowi za nakaz chwili.

Wacław Zbigniew — Ustka, Haber Ryszard — Warszawa, Czarnohorski Jerzy — Tychy, Galdecki Jacek — Łódź, Kubik Włodzimierz — Łódź, Przybylski Michał — Łódź, Słowi Janina — Rumia, Marchewicz Zbigniew — Sopot, Stogowski Wacław — Gdańsk, Lewandowski Kazimierz — Solec Kuj., Andrzejewska Wera — Kraków, Szabakiewicz Zbigniew — Kraków, Mikulski Andrzej — Kraków, Radziwiłłowicz Zbigniew — Wrocław, Wysocki Kazimierz — Zielona Góra, Urbaniak Andrzej — Zielona Góra, Różańska Danuta — Zielona Góra, Wiecezerek Wojciech — Łódź, Zawadzki Eugeniusz — Łódź, Kowalski Janusz — Łódź, Czajka Stanisław — Szczecin, Kubicki Józef — Łódź, Wiecezerek Iwona — Łódź, Niedzielski Wiesław — Łódź.

## REDAKCJA — CZYTELNICY

JAMNIK, ŁÓDŹ. To prawda, że teraz trudno kupić „Odgłosy” nawet w środę krótko po rozwiezieniu pisma do kiosków. Przyczyną tego jest znaczne ograniczenie nakładu. Nie nasza to wina. Istnieje ostry deficyt papieru Pisaliśmy już o tym kilkakrotnie. Informowaliśmy również, że taki stan rzeczy może potrwać dłużej nawet niż do końca 1985 roku. Rozumiemy zaniepokojenie naszych Czytelników. Serdecznie za to przepraszamy. Zmienić tej sytuacji nie jesteśmy w stanie, nie od nas bowiem to zależy.

Prawdą jest również, że polski przemysł celulozowo-papierniczy przeżywa kryzys i że nie jest to po raz pierwszy, że kłopoty z zaopatrzeniem drukarni w papier były już sygnalizowane, ale sygnałów tych nie traktowano poważnie. Prawdą jest również, że w Polsce marnotrawi się wiele papieru, że trzeba nim racjonalnie gospodarować i trzeba papier oszczędzać.

O braku papieru nie można jednak dyskutować w ogóle, gdyż papier nie jest papierowi równy. Na przykład do druku „Odgłosów” potrzebny jest papier określonej szerokości i klasy. Na złym papierze druk jest mało czytelny, a zdjęcia wychodzą „zamazane”. A właśnie tego papieru brakuje. I zaostrzenie papieru w ogóle nie zmieni akurat sytuacji wydawniczej „Odgłosów”, jak nie zmieni sytuacji innych gazet czy czasopism.

Sytuacja ta jednak nie zmieni się też od dyskusowania o papierze. Małe nakłady gazet i czasopism wpływają ujemnie na obieg myśli i poglądów, a w konsekwencji na rozwój kultury, podobnie jak niskie nakłady książek i ich brak. Sytuacja ta zmieni się po radykalnej modernizacji i rozbudowie przemysłu celulozowo-papierniczego, a to wymaga pieniędzy i czasu.

LEON ŁAPKO, PSZCZYNA. Za list dziękujemy. Ale mamy pytanie: za co pan nam wymyśla? Z listu to zupełnie nie wynika. Każda redakcja obowiązana jest dbać o poziom tego, co drukuje. Czyżbyśmy coś panu odrzucili? Jakoś nie przypominamy sobie takiego faktu. Niech pan nam da szansę i prześle coś, co nadawałoby się do druku.



Zaraz po odejściu Villota Albino Luciani poprosił swego sekretarza, Lorenzi, by połączył go z kardynałem Colombo w Mediolanie. Lorenzi powrócił za chwilę z informacją, że Colombo będzie osiągał dopiero około trzy kwadransy po ósmej. Sekretarz udał się znów do swojego biura, a papież czytał razem z ojcem Magee po angielsku ostatnią część codziennej porcji brewarza. Za dziesięć ośmiu Luciani, Magee i Lorenzi zasiedli do stołu. Bez najmniejszej oznaki tego że długa rozmowa z Villotem wyczerpała go, papież rozmawiał beztrudno, podczas gdy siostry Vincenza i Assunta wniosły kolację, składającą się z czystego rosolu, cielęciny, zielonego groszku i salaty. Luciani wypił do tego kilka łyków wody.

Ojcu Lorenzi, który siedział na końcu stołu, przyszła nagle do głowy myśl, że pontyfikat Lucianiego jest już zapewne dłuższy od najkrótszego do tej pory w historii papieżstwa. Chciał to właśnie powiedzieć, kiedy papież zaczął manipulować przy swoim nowym zegarku. Otrzymał go w prezencie od monsignora Macchiego, sekretarza zmarłego papieża, kiedy Kuria skrytykowała stary, bardzo nieporęczny zegarek Lucianiego. Z tak nieładnym przedmiotem na przegubie ręki papież nie może pokazywać się publicznie, gdyż przynosi to ujemny wizerunkowi Kościoła — tak jak gdyby papież był sprzedawcą używanych samochodów, który dla wywołania poważnego wrażenia musi zwracać uwagę na dobrze wyprasowane spodnie i czyste paznokcie. Luciani podał wreszcie zegarek ojcu Magee i poprosił o nastawienie go wraz z początkiem dziennika o dwudziestą.

Po przyjemnej, przebiegającej bez żadnych wydarzeń, kolacji papież powrócił do swojego pokoju do pracy, by jeszcze raz przejrzeć notatki, którymi posługiwał się w rozmowie z Villotem. Za piętnaście dziesiątą Lorenzi osiągnął kardynała Colombo w Mediolanie i połączył go z Lucianim. Kardynał nie chciał wprawdzie odpowiadać na moje pytania, ale z informacji z innych źródeł można wnioskować, że Luciani rozmawiał z nim na temat zaplanowanych zmian personalnych. Do żadnych kontrowersji nie doszło. Kardynał Colombo był bądź co bądź łaskaw i powiedział mi tyle: „Mówił do mnie przez dłuższy czas zupełnie normalnym tonem, w którym nie można było dosłuchać się żadnych oznak choroby cielesnej. Był całkowicie opanowany i ufny. Jego słowo pożegnania brzmiało: „Proszę się modlić”.

Lorenzi zauważył, że rozmowa telefoniczna z Colombo trwała do około piętnaście po dziesiątej. Luciani przejrzał potem przemówienie, które chciał wygłosić do jezuitów w sobotę, 30 września. W związku z tym wystąpieniem telefonował już do generała jezuitów, Pedro Arpune'a i ostrzegł go, że będzie musiał powiedzieć kilka słów na temat dyscypliny. (...)

Luciani odłożył tekst wystąpienia na bok i jeszcze raz wziął do ręki swoje notatki na temat zbliżających się dramatycznych zmian personalnych. Pośrodku do drzwi swego pokoju do pracy, otworzył je i życzył ojcu Magee i ojcu Lorenzi dobrej nocy. Wypowiedział następujące słowa: „Buona notte. A domani. Se Dio vuole” (Dobranoc. Do jutra. Tak chce Bóg”).

Było tuż po wpół do dziesiątej, kiedy Luciani zamknął drzwi swego pokoju do pracy. Wypowiedział swoje ostatnie słowa. Jego ciało znaleziono następnego dnia rano. Konkretnie okoliczności, w jakich doszło do tego odkrycia wskazują wyraźnie na to, że Watykan coś tu ukrył. Rozpoczął się kłamstwa i ciągnął dalej całą sieć kłamstw. Kłamali w szczegółach kłamali w sprawach ogólnych. Ze wszystkimi swoimi kłamstwami zmierzali tylko do jednego celu: zatuszowania, że gdzieś między 21.30 wieczorem 28 września a 4.30 rano 29 września 1978 r. Albino Luciani, papież Jan Paweł I został zamordowany.

Cody, Marcinkus, Villot, Sindona, Gelli. Przynajmniej jeden z tych mężczyzn uknuł desperacki plan, który zrealizowano późnym wieczorem 28 lub wczesnym rankiem 29 września. Plan ten zrodził się z decyzji zastosowania włoskiego rozwiązania: papież musiał umrzeć.

Albino Luciani był od ponad 100 lat pierwszym papieżem, który zmarł samotnie, a jeszcze więcej czasu upłynęło od momentu, kiedy po raz ostatni zamordowano papieża.

Cóż takiego wydarzyło się, 28 września 1978 r., nad Kościołem katolickim zapadła ciemność, i dlaczego?

Odpowiedzi na pytanie „dlaczego” już udzielono. Mówiłyby to wystarczająco dużo. Również na pytanie „jak” możliwa jest niepokojąco duża liczba odpowiedzi. Jeżeli Albino Lucianiego zamordowano, to — z punktu widzenia jego morderców — należało spełnić lub uwzględnić wiele warunków:

1. Jeżeli zamordowanie Lucianiego miało na celu przywrócenie status quo ante korupcji watykańskiej, jaka istniała do wyboru Lucianiego, wówczas czyn ten należało zamaskować tak, by sprawiał wrażenie śmierci naturalnej lub wypadku. Zamach na oczach opinii publicznej, na przykład na placu św. Piotra, nie wchodził w rachubę. Nie wchodziło w rachubę nic, co spowodowałoby władze do gruntownego dochodzenia a opinie publiczną do zastanowienia się nad tym, dlaczego tego spokojnego świętego człowieka usunęto z drogi. Jego śmierć powinna nastąpić w taki sposób, by wywołała jak najmniej sensacji i pe-dierzeń.

2. Najskuteczniejszą bronią wydawała się trucizna, trucizna nie pozostawiająca żadnych zradzieckich śladów. Nauki medyczne znają ponad 200 substancji, spełniających ten warunek. Naparstnica jest tylko jedną substancją z tego wielkiego asortymentu. Pozahawiona smaku i zapachu daje się zmieszać z każdym jedzeniem, napojem i lekarstwem. Nie spodziewająca się niczego złego ofiara w momencie przyjmowania nie zauważa w ogóle, że sama serwuje sobie śmiertelną dawkę trucizny.

3. Niezależnie od tego, kto planował zamordowanie papieża w ten sposób, musiał doskonale znać stosunki panujące w Watykanie i przyzwyczajenia papieża. Spisowcy musieli wiedzieć, że — niezależnie od tego, co wydarzy się po znalezieniu ciała — nie przeprowadzi się autopsji. Jeżeli mogli być tego pewni, to właściwie było wszystko jedno, na jaką truciznę zdecydował się. Naparstnica miała tę zaletę, że śmiertelne działanie wystąpiłoby dopiero po kilku (dwóch do sześciu) godzinach od jej przyjęcia. Jeżeli całą sprawę zaplanowano tak, że Luciani zżyłby trucizną północnym wieczorem, to można było być dość pewnym, iż umarłby samotną śmiercią gdzieś w nocy w swoim łóżku. Lekarze watykańscy po oznakach możliwych do stwierdzenia przy zewnętrznych oględzinach zmarłego wyeliminowałyby wniosek, że zgon nastąpił w wyniku zawału serca. Spisowcy musieli wiedzieć, że w Prawie Apostolskim nie było żadnego wiążącego postanowienia, nakazującego przeprowadzenie autopsji w wypadku śmierci papieża. Ponadto mogli być pewni, że nawet wówczas, gdyby w kregach najwyższych dostojników watykańskich pojawiły się podejrzenia to obawy przed skandalem, który wstrząsnąłby Kościołem katolickim byłyby większe, niż zainteresowanie wykryciem prawdy.

Na stolek nocnym papieża obok budzika stała buteleczka z effortilem, lekkiem w płynie, którego kilka kropli Luciani zżywał od lat każdego wieczoru z powodu swego niskiego ciśnienia krwi. Jedynymi innymi lekami, zżywanymi przez papieża, były tabletki witaminowe, które brał trzy razy dziennie przy posiłkach, oraz środek pobudzający wytwarzanie adrenaliny przez nadnercza, który wstrzykiwano mu w określonych odstępach czasu; również ten środek przepisano mu z powodu zbyt niskiego ciśnienia krwi. Wstrzykiwano mu go w dłuższych sercach zastrzyków dwa razy w roku, na wiosnę i jesienią. Zastrzyki robiła siostra Vincenza. We wrześniu 1978 r. rozpoczęła się kolejna seria tych zastrzyków i była to też główna przyczyna, dla której siostrę Vincenzę sprowadzono z Wenecji.

Zastrzyki nie zawierały zawsze preparatu o tej samej nazwie, ponieważ istnieje kilka środków mających takie samo działanie. Najczęściej jednak Luciani otrzymywał zastrzyki z cortilexu. Zarówno cortilex, jak i effortil na nocnym stolek papieża były łatwo dostępne dla każdego, kto miał wstęp do pomieszczeń papieskich lub mógł taki wstęp uzyskać. Zapewnienie sobie takiego wstępu, o czym jeszcze się przekonamy, nie było żadnym problemem.

Wczesnym rankiem 29 września 1978 r., w piątek, siostra Vincenza jak zwykle o 4.30 miała do papieskiego pokoju do pracy tacę z dzbanuszkami kawy i filiżanką. Zapukała do drzwi sypialni i zawołała: „Dzień dobry, Ojcie Święty”. Nie usłyszała na to żadnej normalnej dotychczas odpowiedzi. Vincenza odczekała chwilę, po czym bez słowa oddaliła się. Kwadrans później przyszła z powrotem i nasłuchiwała przez zamknięte drzwi pokoju do pracy. Nie było słychać nic, co wskazywałoby na jakikolwiek ruch za nimi. Siostra Vincenza zaczęła służyć Lucianiemu w 1959 r. w Vittorio Veneto i od tamtej pory pracowała tylko dla niego. W ciągu tych 19 lat nie zdarzyło się ani razu, by zasnęła. Nasłuchiwała stróżką. Zapukała do drzwi, najpierw lekko, potem mocniej. Ciągłe jeszcze nie się poruszała. Kiedy otworzyła drzwi, ujrzała, że przez dolną szczelinę pod przeciwległymi drzwiami, prowadzącymi do sypialni papieża, przenikał promień światła. Pospieszyła do nich i zapukała. Nie było odpowiedzi. Otworzyła drzwi i ujrzała Albino Lucianiego siedzącego w swoim łóżku. Był w okularach i rękoma obejmował kilka arkuszy papieru. Jego głowa zwiślała na prawo, przez uchylone usta widać było zęby. To, co ujrzała, nie było jednak uśmiechniętym obliczem witanym przez miliony ludzi, lecz twarzą wykrzywioną udrczeniem. Czuliła puls papieża. W rozmowie ze mną przeżywała te chwile jeszcze raz: „Cudem tylko przeżyłam — mam słabe serce. Naclęsnęłam dzwonek, by sprowadzić tu sekretarza i wyszłam, by poszukać innych siostr i oraz budzić Don Diego”.

(20)

## „W imieniu Boga?” — tajemnicza śmierć Jana Pawła I

Siostry mieszkaly na przeciwległej stronie tego samego piętra, ojciec Magee spał piętą wyżej, na poddaszu. Ojciec Lorenzi spał przejściowo w pomieszczeniu położonym w pobliżu sypialni papieskiej, ponieważ przeznaczony dla niego pokój, w którym do niedawna mieszkał sekretarz papieża Pawła VI, monsignore Macchi, właśnie remontowano. Siostra Vincenza wyrwała go ze snu.

Niektórzy wcześniej wstający w Rzymie z zadowoleniem odnotowali już, że w sypialni papieża paliło się światło — dobrze wiedzieć, że również inni tak wcześniej już nie spali. Czyżby żaden z patrolujących całą noc watykańskich funkcjonariuszy bezpieczeństwa nie zauważył oświetlonego okna?

Pierwszym, który przybył, był ojciec Magee. Po raz drugi w ciągu zaledwie dwóch miesięcy miał przed sobą martwego papieża, nawet jeśli tym razem w zupełności innych okolicznościach, niż poprzednio. Kiedy papież Paweł VI umierał 6 sierpnia, o jego łożu w Castel Gandolfo, letniej rezydencji papieskiej w pobliżu Rzymu, zebrało się wiele osób. Biuletyny lekarskie przedstawiały wówczas bardzo szczegółowy obraz ostatnich 24 godzin życia Pawła oraz tak samo dokładny obraz różnych chorób, którym uległ on w końcu o godzinie 9.40.

Albino Luciani po zaledwie 33-dniowym pontyfikacie papieskim zmarł samotnie.

Po jednym z najkrótszych w historii konklawe nastąpił jeden z najkrótszych pontyfikatów. Od prawie 400 lat żaden z papieży nie zmarł tak szybko po swoim wyborze. Po to, by znaleźć jeszcze krótszy pontyfikat, musielibyśmy cofnąć się do 1603 r., do czasów papieża Medici, Leona XI, który pełnił swój urząd tylko przez 17 dni. Na co zmarł Albino Luciani?

Pierwszą reakcją ojca Magee było zatelefonowanie do kardynała Villota, który mieszkał dwa piętra niżej. Przed niespełną 12 godzinami Albino Luciani poinformował sekretarza stanu o zbliżającym się zastąpieniu go przez Beneliego. Śmierć papieża zmieniła wszystko: Villot nie był już usuniętym ze stanowiska sekretarzem stanu; nie tylko pozostałby na swoim stanowisku do wyboru nowego papieża, lecz przejąłby również funkcję Camerlengo, niejako urzędującego zwierzchnika Kościoła. Villot wszedł do sypialni papieskiej około piątej i przekonał się o tym, że Luciani nie żył.

Jeżeli Albino Luciani zmarł śmiercią naturalną, to nie ma żadnego racjonalnego wyjaśnienia dla tego wszystkiego, co czynił teraz Villot i dla wydawanych przez niego poleceń. Jego zachowanie się jest zrozumiałe tylko wtedy, gdy założymy, że wiedział o spisku na życie papieża, względnie sam był jego uczestnikiem, albo też w sypialni zmarłego dokonał jednoznacznych odkryć wskazujących, że papież został zamordowany i natychmiast zdecydował się w interesie Kościoła zachować te dowody rzeczowe w tajemnicy.

Na stolek przy łóżku papieża znajdowały się lekarstwa, które Luciani zżywał z powodu swego niskiego ciśnienia. Villot schował buteleczki i wyjął z rąk papieża kartki z notatkami dotyczącymi planowanych zmian personalnych. Również te dokumenty zniknęły w kieszeni kardynała Testament papieża, znajdujący się w jego biurku, znikł tak samo, jak jego okulary i pantofle domowe. Żadna z tych rzeczy nigdy już nie pojawiła się.

Villot wprowadził potem wstrząśniętych członków domu papieskiego w wymyśloną wersję okoliczności, które doprowadziły do znalezienia zmarłego. Przyjął od nich uroczyste przyrzeczenie, że nie ujawnia faktu, iż zwłoki odkryła siostra Vincenza oraz oświadczył im, że informacja o śmierci papieża musi pozostać w tajemnicy do czasu, aż udzieli im dalszych instrukcji. Potem z papieskiego pokoju do pracy przeprowadził kilka rozmów telefonicznych.

Z relacji bezpośrednich, naocznych świadków wydarzeń wynika, że buteleczka z effortilem, okulary, pantofle domowe i testament papieski znajdowały się w sypialni lub w pokoju do pracy papieża, zanim Villot wszedł do tych pomieszczeń. Kiedy je opuścił przedmioty te znikły.

Villot przekazał informacje o śmierci papieża kardynałowi Co-falorieriemu, 86-letniemu dziekanowi Świętego Kolegium, a potem kardynałowi Cesarolliemu watykańskiemu ministrowi spraw zagranicznych. Następnie polecił zakonnikom z centrali telefonicznej, by połączyły go z jego zastępcą, arcybiskupem Giuseppe Caprio, który spędzał urlop w Monte Catini. Caprio był numerem trzy w hierarchii kościelnej. Dopiero potem Villot zatelefono-wał do lekarza doktora Renato Buzzonettiego, zastępy kierowni-ka watykańskiej służby zdrowia. Następnie zadzwonił na wartownię gwardii szwajcarskiej gdzie zameldował się sierżant Hans Roggan; Villot przekazał mu, by natychmiast przybył do pomieszczeń papieskich.

Ojciec Diego Lorenzi, jedyny człowiek który przybył z Lucianim z Wenecji, wstrząśnięty niezdolny do zebrania myśli, krążył po pokojach. Stracił człowieka który w czasie minionych dwóch lat stał się dla niego drugim ojcem. Ze łzami w oczach usiłował to wszystko zrozumieć, odkryć sens w tym wszystkim, co się zdarzyło. Kiedy Villot zdecydował się wreszcie, że świat powinien poznać prawdę, miliony podzielały zmartwienie i prze-żalenie Lorenziego

Wbrew zarządzeniom Villota, że nie można przekazywać na zewnątrz żadnych informacji o tym, co się wydarzyło, Diego Lorenzi zatelefono-wał do doktora Giuseppe Da Rosa, który przez ponad 20 lat był domowym lekarzem Lucianiego. Lorenzi jeszcze dziś bardzo dokładnie przypomina sobie reakcję lekarza: „Był zaszokowany, zaniemógł, nie mógł po prostu w to uwierzyć. Dr Da Rosa stanął również przed zagadką. Powiedział, że uda się natychmiast do Wenecji i wsiądzie w samolot do Rzymu”.

Lorenzi pomyślał następnie o bratanicy Albino Lucianiego, Pili, która przypuszczalnie była swojemu wujkowi bliższa niż wszyscy pozostali członkowie rodziny. Wydawało się, że Diego Lorenzi był w Watykanie jedynym, który był świadomy tego, iż papież ma krewnych. Uważał, że rodzina miała oczywiście prawo dowiedzieć się o śmierci papieża z osobistej rozmowy telefonicznej, a nie dopiero z radia. „Znaleźliśmy go dziś rano” — oświadczył Pili. „Potrzebuje pan teraz wiele ufności w Boga”.

Wielu będzie teraz potrzebowało wiary w Boga. Wielu będzie czuło się wystawionymi na trudną próbę wiary w obliczu tego, co w następnych dniach dał znać o sobie Villot i jego koledzy.

Nowina zaczęła roznosić się w wiosce watykańskiej. Na dziedzińcu za Bankiem Watykańskim sierżant Roggan spotkał biskupa Paula Marcinkusa. Była za piętnaście szósta. Do dziś pozostało niewyjaśnione, dlaczego Marcinkus, który mieszkał w Willi Stritch w Rzymie i nie miał opinii wcześniej wstającego, znalazł się tam o tak wczesnej porze. Wills Stritch znajduje się na Via della Nocetta, 20 minut jazdy samochodem od Watykanu. Roggan podzielił się nowiną: „Papież nie żyje”.

Marcinkus wlepił tylko oczy w sierżanta; Roggan podszedł do niego kilka kroków bliżej. „Papa Luciani. Nie, żyje. Znalaziono go w jego łóżku”.

Szef Banku Watykańskiego ciągle jeszcze bez wyrazu wpatrywał się w sierżanta. Roggan ruszył dalej i zostawił patrzącego za nim tego Marcinkusa.

Kilka dni później, podczas pogrzebu papieża, Marcinkus wy-jaśnił swoje zdanie zachowując się: „Bardzo mi przykro, ale myślałem, że dostał pan bliźka”.

Dr Buzzonetti przeprowadził krótkie, pobieżne badanie zmarłego. Oświadczył Villotowi, że przyczyną śmierci był niedowład mięśnia sercowego, a więc atak serca. Godzinę zgonu określił w przybliżeniu na 33.00. Ustalenie przy tak pobieżnym badaniu odległego o siedem godzin momentu zgonu jest tak samo niemożliwe, jak określenie zawału serca jako przyczyny śmierci.

Już przed badaniem ciała przez doktora Buzzonettiego, które odbyło się około godziny szóstej, Villot zarządził, że zmarły ma być natychmiast zabalsamowany. O szybkie rozpoczęcie tej czynności zatroszczył się nawet jeszcze przed swoim telefonem do kardynała Confalonieriego o 5.15: bracia Ernesto i Renato Signoracci balsamowali już dwóch papieży. Wczesny telefon i służbowy samochód watykański który zatrzymał się przed domem Signoraccich zapoczątkowały dla braci długi dzień pracy. Tak wczesne poinformowanie i odebranie z domu ludzi zajmujących się balsamowaniem porwała jednocześnie przypuszczać, że Watykan już między 4.45 a 5.00 musiał nawiązać kontakt z instytutem medycznym, w którym pracowali bracia Signoracci.

O siódmej, z więc ponad dwie godziny od znalezienia ciała przez siostrę Vincenzę, świat zewnętrzny ciągle jeszcze nie wiedział, że Jan Paweł I nie żył i to mimo tego, że mieszkający wioski watykańskiej w żadnym wypadku nie przestregali naku-ku milczenia, wydanego przez Villota. Kardynał Benelli we Florencji dowiedział się o zgonie papieża telefonicznie o 6.30. Przyłoczony zmartwieniem, z płaczem wrócił do swego pokoju i zaczął się modlić. Rozwiał się w wszystkie jego nadzieje marzenia i oczekiwania. Plany, które ukuł Luciani, przeobrażenia, nowa orientacja, wszystko było teraz makulaturą. Jeżeli papież umiera, wszystkie podjęte przez niego a nie opublikowane decyzje stają się nieważne — chyba że wyraźnie potwierdzi je następca.

O godzinie 7.20 w Canale d'Agordo, rodzinnej miejscowości Albino Lucianiego, zaczęły bić dzwony kościelne. Radio Watykan ciągle jeszcze milczało na temat śmierci papieża w końcu, o godzinie 7.27, dwie godziny i trzy kwadransy po znalezieniu zmarłego przez siostrę Vincenzę, kardynał Villot uznał, że nadszedł właściwy moment:

„Wczesnym rankiem 29 września 1978 r. około godziny 5.30 sekretarz osobisty papieża w poszukiwaniu Ojca Świętego, który wbrew swoim przyzwyczajeniom nie przybył do należącej do jego prywatnych apartamentów kaplicy, wszedł do sypialni papieża i znalazł go martwego, siedzącego przy zapalonym świetle w łóżku jak ktoś, kto zabiera się do czytania. Sprowadzony natychmiast lekarz, dr Renato Buzzonetti potwierdził zgon, który nastąpił przypuszczalnie poprzedniego wieczoru około godziny 23.00 i wskazywał na nagłe odejście, będące skutkiem ostrego niedowładu mięśnia sercowego”.

W późniejszym komunikacie stwierdza się, że wspomnianym sekretarzem był ojciec Magee który zwykle o 5.30 odprawiał z papieżem mszę poranną. Dalej poinformowano, że papież zmarł przy lekturze księgi „De Imitatione Christi”, dzieła z XV wieku, przypisywanego zwykle Tomaszowi Kempis.

Podobnie jak buteleczki z lekami i kartki z notatkami papieża, rozmyły się w powietrzu, również siostra Vincenza jako odkrywczy-ni dzieła, a także godzina znalezienia zwłok — 4.45. Mimo że Villot i ci, którzy służyli mu radą i czynem, potrzebowali aż dwóch godzin i trzech kwadransów, legenda, jaką przedstawili w końcu opinii publicznej, zawiera błąd konstrukcyjny. Podczas gdy wszystkie gazety i stacje radiowe świata rozpowszechniały infor-macje opierające się na komunikatach Watykanu, Villot zaplał się w swojej własnej wersji.

C.D.N.

Fragmenty książki Davida Vallopa  
„In God's Name”

# W kręgu fantastyki

Rury były tu zupełnie srebrne, ponad metrowej średnicy i pokonywanie ich było prawdziwą przyjemnością. Po kwadransie skończyły się i powędrowały po ziemi, usłanej opadłymi, ale jeszcze nie zaczynającymi się skrecać liśćmi. Ten naturalny kobercerek sprężynował i jakby dopomagał w marszu. Do tego na graniastych pniach zaczęły trafiać się jeszcze nie opadłe liście sterzące tak, jakby powstawiały je do wąskich waz. Cień pod nimi był chłodny i wilgotny, a wonne liście rozstawały wokół znajomych zapach rozartego w palcach szcawiu. „Rinko” już nie wahał się i pewnie pokazywał kierunek, co oznaczało, że cel był blisko.

Henryk przyspieszył kroku. Teraz wiedział na sto procent co będzie robić. Długo zwierzę, na wszelki wypadek zarzucił na pysk pełną, następnie zważył na bok i związał lapy. A w tym czasie doleci wezwany drogą radiową śmigłowiec. Ma w apteczce coś znieczulającego i paralizującego? A niech to, zupełnie zapomniał, że to zestaw „kawalerski”. Autoanestezor umieszcza się w zestawie dla dwóch osób. Bo i po co samotnemu wędrowcowi taki anestezor? Po to, by ułatwić zadanie pierwszemu drapieżnikowi, jaki mu się trafi? Przecież takiego zdarzenia jak to nikt nigdy nie mógł przewidzieć.

Nie ma co robić z tego tragedii. Wystarczy mocniej związać... Zapisał się i dając upust nagle gniewowi zaklął. Związać! Myśliwy! Nawet nie znalazł wolnej chwili na to, by wziąć ze sobą sznur! Oto efekty brania się nie za to, co do człowieka należy. Tysiące razy cieszył się z tego, że robi tylko to, co do niego należy i stał też wszystkim układam mu się w życiu jak powinno. Budowanie — oto co do niego należy. Wyciąganie spod kamiennej lawiny gapiących się nie wiadomo na co smarkatych praktykantów również. Stawianie tego, czego praktycznie nie można było zbudować, w dodatku tam, gdzie nikt nigdy nie budował, urządzenie galaktycznego raję z jeziorem pełnym wytrawnego szampana (bardzo dowolna interpretacja prawa obowiązującego na innych planetach) — i to też była jego sprawa.

Wiele jeszcze rzeczy należało do kategorii jego spraw, ale dopiero teraz zauważył, że w tych SWOICH SPRAWACH nigdy nie był sam, tak jak teraz. Zawsze było ich dużo — współpracowników, praktykantów, przyjaciół, wielbicielek, kompanów do butelki... Nawet z kobietami wolał pozostawać sam na sam tylko przez krótką chwilę. Jedynie Gerda okazała się wyjątkiem od tej reguły. Dla niej zmienił swe przyzwyczajenia i po raz drugi zgodził się spędzić urlop na tej obiecanej planecie stanowiącej schronienie dla oczarowanych kretydów — samotników. Gerda zabrała ze sobą nadwornego malarza. Zapewne w charakterze bufora.

A on wpadł w pułapkę i potrzebą samotności zamknął się za nim. Gdyby nie Eri dawno powiedziałby żonie: uciekajmy stąd. Ale przed tym malarzem trzeba zachować pozę, no i jeszcze wygłupiał się, grał rolę Wielkiego Kalwarskiego... W efekcie dograł się. Czas przypomnieć sobie stara piosenkę jakiegoś pogodnego Francuza o jego lekkomyślnej Marietcie: „A ja z dezintegratorem swym byłem idiota, mamusia, a ja z dezintegratorem swoim stałem, jak idiota...”. A może i nie z dezintegratorem? Kiedy powstała ta piosenka, bardzo wątpliwe czy istniało coś straszniejszego od colta na sześć naboł i bomb atomowych o ograniczonym promieniu rażenia. Nie ma coltów, nie ma bomb atomowych, a piosenka pozostała, on zaś stoi jak idiota, a przed nim... Tak, przed nim wyraźnie słychać było szmer wody.

Szedł i szedł nie-widząc rzeki ni jeziora, dopóki nie pisał, że szmer odbiega spod liści. Dziwnie szło się po tym chybottliwym chrupającym pomoście, ale oto liście skończyły się i od razu znalazł się po kostki w wodzie.

Czyste, pokryte drobnymi kamykami dno nie kryło w sobie żadnego niebezpieczeństwa. Ogórkowe drzewa zwieńczone żaglami gigantycznych liści wyrastały teraz wprost z wody. Tylko nieliczne z nich posiadały obok pnia maclupenkę, liczącą sobie nie więcej niż metr szerokości, wysypkę. Na jednej z takich wysypek nagle coś się poruszało, ciężko płuśnalo do wody i popłynęło dalej szpazmatycznie rozgarniając wodę. Henryk z góry wiedział, jaką postać przyjmie polliot. Tym razem była to żaba, tyle że nie tak jak zwykle śnieżnobiała, a różowawo plamista. Może straszna rana na boku, którą zdołał dostrzec pomimo sporej odległości i głębokości cienia rzucanego przez znajdujące się w górze, ściśle przylegające do siebie liście, utrudniała proces depigmentacji? A może polliot celowo wytwarzał barwę ochronną w pierze?

Kilka razy żaba podpuszczała go zupełnie blisko, na odległość strzału ale w ostatniej chwili pstrókata tusza błyskawicznie zanurzała się w wodzie i pogoń, której nie było widać końca, rozpoczynała się od nowa. „No poczekaj, głupia — narzawał ja Henryk ni to szepetem, ni to półgłosem — poczekaj! Ta ucieczka nie ma sensu, poza tym jest okrutna. Gdybyś miała choć jedną szansę na sto, puściłbym cię. Ale ta szansa nie istnieje. Widzę jak traciś siły i resztki krwi. Gdyby nie siegająca do kolan woda dawno bym cię dogonił. Zatrzymaj się więc tu, w tym pachnącym, szmerzącym cieniu, gdzie czarna kolumnada z graniastych pni i drobny żwir pod nogami, i nieśpiesznie pływająca woda, tak jednakowa na wszystkich planetach. Po co wracać na ląd, gdzie słońce wypęlił twe ostatnie chwile nieznośnym znójem przedśmiertnego pragnienia? Posłuchaj mnie, zostań tu...”. Nie zdając sobie z tego sprawy postępował dokładnie tak samo jak kilka tysiącleci temu postępowali jego przodkowie, myśliwi z dawnych czasów. Namawiał swą ofiarę, poufny szepetem podsuwał jej kuszące obrazy ostatniego spoczynku kończącego wszystkie cierpienia. I tak samo jak to miało miejsce we wszystkich czasach, zdobywcę uciekała od niego spływająca krwią i życiem nie rozumiejącą i nie przyjmującą ofiarowanego jej spokoju.

„Nie obliczyłem naszych zł, pomyliłem się, choć mogłem się domyślić, że by wyżyć na tej planecie, na tej waszej Pollioli, z piekłem jej dziennego słońca i lodowatym chłodem nocnej mgły, trzeba dysponować o wiele większą wy-

trzymałością, niż ziemskie zwierzęta — rozumne i nierozumne. I oto ja — najslabszy, proszę cię: zatrzymaj się. Jeśli cię nie dogonię zarzucę całe przedsięwzięcie, pozostawię cię umierającą w tym wodnym labiryncie i nikt się o tym nie dowie. Nikt się nie będzie niczego domyślał. Oprócz mnie samego. Pozostanie to ze mną aż do mej śmierci. Tylko że ja to nie będę już ja. Wykończysz Kalwarskiego, rozumiesz? Oto dlaczego błagam cię o litość. Wziąłem się za coś co nie należy do mnie i nie mam sił na doprowadzenie tego do końca. Chociaż czy brałem się? To zważyło się na moja głowę jak śnieg, jak nieszczęście. Zważyło mi się na głowę, ale za co? Już zaczynam udawać i przed tobą... Wiem za co. Widzisz wziąłem sobie kiedyś żywego człowieka... kobietę i uczyniłem z niej swą bezużyteczną ozdobe. Oczywiście zdarzało się tak nieraz, iż mężczyzna bierze sobie kobietę za żonę nie dając jej niczego w zamian oprócz miejsca obok siebie. Ileż razy miało to miejsce na przestrzeni setek i tysięcy lat! I zawsze bezkarnie. Wybaczało się nam, wybacza i będzie wybaczać. I mnie wy-

OLGA LARIONOWA

## Gdzie królewskie łowy (3)

baczono by całe me życie, gdyby nie zaniósł nas na Polliole. Tutaj klimat najprawdopodobniej nie sprzyja trzymaniu spiniek. No i rozleciało się to co mogło szczęśliwie wytrzymać przez nie tak znów krótkie ludzkie życie. Po prostu nie powiodło mi się. Tobie też. Nie pierwszy i nie ostatni niedobry maż ze mnie, a podejrzewam, że i gównu warty kochanek, a z ciebie ponad miarę ciekawe bydle. Jakich obok naszego domu płałają się bez zajęcia dzieciaki, ale w danej sytuacji porachunki załatwiać będziemy tylko ty i ja. Inie myśl, że płacę mniejszą cenę. Zabijanie, wiesz, to wcale nie taka prosta sprawa i gdybym miał możliwość zaproponowania ci innego wariantu, to wybrałbym walkę równego z równym, gdzie albo ja ciebie, albo ty mnie. Ale dziś wyboru nie ma, więc kończmy jak najszybciej. Wciąż brnę i brnę przez tę ciepłą wodę i nie widzę jej początku ni końca. Drzewa pochylły się jeszcze bardziej, ani jednego prześwietli w górze, coraz ciemniej i ciemniej, i znów nie nadałam ze złożeniem się do strzału, gdy odpływała, a ja już na nogach nie stoję. A przecież trzeba jeszcze zacząć na śmigłowcu, a ponadto w jakiś sposób przebić się przez ten dacz. Ciąg dezintegratorem, czy co...”

Smutny niepokój zmusił go do podniesienia głowy. Ciemno, zbyt ciemno. A do tutejszego wieczoru pozostało jeszcze przecież wiele ziemskich dni. Dach, utkany z gigantycznych liści, wisiał na wysokości zaledwie trzech — czterech metrów nad głową. Mimo wszystko odsukał prześwit pomiędzy tymi aksaminozarymi, jakby podbitymi ciepłą flanelą, łopianami, ale kiedy po raz pierwszy spojrzął w tę szczelinę, nie od razu zrozumiał co tam widzi. A kiedy zrozumiał, zapomniał o swym zmęczeniu, o swym rozdrażnieniu, a nawet o samym polliocie uparciu i bez szans na powodzenie uciekającym przed nim. Zapomniał dlatego, że tam, dosłownie nad samym listowiem, prawie zahaczając o nie swym ciemnoczerwonym brzuchem zawisła straszna burzowa chmura. A o tym co to takiego deszcz na Pollioli Henryk miał już wyobrażenie. Spróbował skupić się i z grubszą oceną sytuacji: nawet, jeśli uwzględnić pelzanie na czworakach pośród ogórków i pokonywanie stosów rur z liści i całe to jego pływanie, przebył do tej pory nie mniej niż dwadzieścia pięć, trzydzieści kilometrów. Przedpotopowy, mały śmigłowiec znajdujący się w ich bazie w oparciu o peleng przeleci ten dystans w przeciągu pół godziny. Ale czy przebieje się przez front burzowy? Najprawdopodobniej błyskawice rzniąszo go na strzępy w trzeciej minucie lotu. A drugiego śmigłowca nie ma. Czegoś nowocześniejszego również tu nie ma, albowiem istnieje pewna absurdalna tradycja każącą na planetach uznanych za rezerwy przetrwać się techniką z epoki jaskiniowej. Tak, dziewczęce lasy Pollioli odgrodzone były od wyrzutów strumieni gazów turbodrzutowych wszędolazów i za tę troskliwość miał Henryk zapłacić w najbliższej przyszłości.

Z zadumy wyrwał go narastający szmer. Woda zbierała, najwidoczniej gdzieś w pobliżu, deszcz już zaczął padać i za kilka minut ta zatonka ze stojącą wodą musiała się przekształcić we wściekły potok, jaki już obserwował dziesięć dni temu. Wyjście jest tylko jedno — trzeba wdrapać się na drzewo. I to jak najszybciej. To znaczy tak szybko, jak to może zrobić człowiek nie mający ani sznura, ani noża i gładki pień przed nosem.

Wyjął dezintegrator i przesuwał regulator na ogień ciągły. Z wyglądu powierzchnia pnia była twarda jak stal, ale pod ogniem dezintegratora nagle z sykami i pianą zaczął dezintegrator się w kipiący kisel. Ach ty diabli! Miał stopnia lepiące się wżębenie. Nie, to nie jest wyjście. Dalej, wielki Kalwarski, ruszaj głową. Pień odpada. A liście? Jeden z nich opadł bardzo nisko na wysokość trzech metrów. Ręką dosięgnąć się nie da, doskoczyć również... Ale można zrobić dezintegratorem małą dziurkę, a w apteczce pozostała jeszcze taśma... Na zrobienie otworu i przetrucenie przezeń szpulki trzeba mu było zaledwie paru sekund. Henryk ostrożnie przyciągnął liść, najbardziej na świetle obawiając się tego, że zaraz oddzieli się on od swej podstawy. Ale nie, udało się. Stał na nogami na jego końcu i przejechał dłoń po gładkiej powierzchni. Tak, wdrapać się po niej do góry to się nie da. A jeśli rozciąć? Pewnymi ruchami rozciął promieniem lewą część liścia raz, drugi, trzeci. Kilka grubych, ociekających ciekłym sokiem taśm opadło w dół srebrzystymi frędzlami. Tak, Teraz należy związać każdą parę podwójnym węzłem i po tych węzłach wspiąć się do góry. Zrobione. Dopiero stamtąd, trzyma-

jąc się grubego ogonka spojrzął w dół: wszystkie okoliczne drzewa wyrastały prosto z wody. Jeśli go zmyje... Przepełził jeszcze kawaleczek i odetchnął z ulgą. Kończki wszystkich ogonków znikające w głębi pnia tworzyły stożkową czaszę, na dnie której widać było małe kuleczki, nie większe od fasoli ogóreczki. Zdażył jeszcze pozalować tego iż nie oddał kawalka liścia, by mieć czym przykryć się od góry, kiedy pierwsze krople deszczu zastukały wokół z groźną częstotliwością. Drzewo, na wierzchołku którego się ukrywał, było nieco niższe od pozostałych i dlatego też wkolo siebie nie widział niczego prócz liści. Deszcz padł gęstą ścianą. Przed oczyma eksplodowała mu różowa błyskawica — przysiadł i mimo woli zmrużył oczy.

Błyskawice, proste, nie rozgałęzione, były w akompaniamencie nie milknącego gruchotu wydatowań. Gdzieś niedaleko z hałasem runęło drzewo, potem drugie i trzecie. Burza już szalała około pół godziny i Henryk nie miał odwagi spojrzeć w dół, gdzie woda podniosła się z pewnością do połowy pnia. Z powodu zmęczenia i napięcia nerwowego trzęsły nim dreszcze, pod strugami wody brakowało powietrza. Jeśli potrafił to jeszcze ze dwie godziny, nie wytrzymał. Spelznie w dół do środka wypelnionej wodą czaszy i nikt nigdy go tu nie znajdzie...

A przecież, aż do dziś nie brakowało mu tak bardzo niczego innego jak wody! Duszne południe Pollioli popychało go ku jezioru i nie przestawał się cieszyć, że jego słomiana kukielka do czegoś się przydaje; dopiero tu dowiedział się, że jest niezła pływaczka. Co prawda denerwowało go to, że na brzegu, niczym kolumna z alabastru, sterczał w swej arawijskiej chlamidzie niezmienny Eristaw. Oczywiście patrzeć nie zawsze było prawem malarza, ale byłoby lepiej gdyby pływał razem z nimi. Chociażby pieskiem. A Gerda wypływała daleko, na sam środek jeziora, a jeden raz zapuściła się nawet na jego drugą stronę. Właśnie tam po raz pierwszy zobaczyli ogórkowe drzewo — ogromny, wielki jak kolumna Aleksandra, grafitowy cylinder. Liście już z niego opadły i przez skraj górnego wierzchołka przesypany były przyszczone ogórki, jakby gotowały się w cylindrze, niczym w niezawodnym garnku z bajek braci Grimm. Ogórkowa kasa pokryłaby cały brzeg, gdyby nie pała się tu tak wielka liczba przedstawicieli miejscowej fauny, z wiać takim samym chrzęstem i apetytem palasujących tylko co opadłe ogórki. Długo jeszcze cieszyłby się tym ogrodowym monstrum, gdyby czy Gerdy nie rozszerzyły się nagle pod wpływem strachu Henryk zerkał wówczas wyżej, na stok i także zobaczył TO. Postali jeszcze kilka minut czytając napis wykonany gotykiem i liliowym, niezwykłym flamastrem, a następnie cicho zeszli do wody i jakoś tak zadziwiająco zgodnie, prawie dotykając się ramionami, przepłyneli w porzek jezioro, zupełnie nie zwracając uwagi na słońce.

Przez cały ten czas na wysokim brzegu biała chlamida Eristaw. Spojrzenie malarza było spokojne, prawie roztargnione; teraz kiedy obok jego boskiej Gerdy był ktoś — nawet maż — nie przerażało go potencjalne niebezpieczeństwo ze strony ciemnoczerwonych głębin jeziora, nad którymi z lekkością srebrzystej uklejkii przemykało jasne kobiece ciało. W innych wypadkach obecność Henryka jakby nie była zauważona przez malarza, nie była brana pod uwagę. Ich ścieżki nigdy nie krzyżowały się. Eristaw i wielki Gerdy i malował ją, podczas gdy maż nie potrafił ani jednego, ani drugiego. Koegzystencja ich przebiegała bez konfliktów, gdyż obie strony życzyły dobrodusznemu swemu przeciwnikowi, by wziął go diabli, ale nie ponadto. Obie zbyt były zajęte; Henryk — nieróbstwem, Eristaw obserwowaniem (pod obecność Gerdy) i malowaniem (pod jej nieobecność). Wykrecając włosy i nie patrząc na malarza Gerda przeszła tak blisko niego, że ten wyraźnie słyszał szmer każdej kropli niechętnie rozstającej się z jej ciałem. Tuż za nią, posapując ze zmęczenia ciężko wdrapywał się z kamienia na kamień Henryk. Innym razem po prostu przeszedłby obok, ale dziś był wyjątkowy wypadek.

— Dziwna sprawa, Eristaw — powiedział zatrzymując się przed malarzem. — Tam na drugim brzegu mogiła. My przecież nie zostawiamy swoich na innych planetach... A tymczasem tam widnieje ludzkie imię.

Wrócili do domu starając się stapać możliwie jak najciszej, jakby bali się splotyż gęstą gorącą ciszą nie mającego końca południa. Kiedy zbliżali się do domu, w jego wnętrzu rozległo się melodyjne uderzenie w gong i dobroduszny, niemiły głos oznajmił:

„Słońce zaszło. Spać moje dzieci, spać. Jutro obudź was o świcie. Przyjemnych snów!”

Słońce stało w zenicie, a oni wbiegali na gorące deski ganku następując na własne cienie. Kiedy przestąpili próg, otwory okienne i drzwiowe błyskawicznie zaciągnęły się nieprzezroczystą błoną. Wieczorny chłód wypełnił dom szmerami wilgotnych liści, brzęczeniem majowego żuka i migotaniem ziemskich gwiazd. A tam, na zewnątrz, nadal płońło wściekle białe słońce, do którego zajęcia pozostało jeszcze ponad sto ziemskich dni...

Wspomnienie słońca przywołało Henryka do rzeczywistości. Jezioro, mogiły kamień z liliowym napisem... Wszystko to nabrało wyrazistości i prawdopodobieństwa majaku. Jeszcze trochę i całkowicie przestanie panować nad sobą. Słońce, po stołroć przeklecie słońce, które tak dało się we znaki, gdzież tu?...

Deszcz ustał, kiedy już tracił przytomność. Czy upłynęła godzina, czy też trzy — tego nie był w stanie ustalić. Chmury pelżyły przez niebo tak jak przedtem, mało nie zaczepiając o wierz-

chołki drzew, między nimi, a grubym dachem utworzonym z liści tego nadwodnego lasu rozciągało się morze mgły Henryk odwrócił się i mimo woli wzdrgnął, szła na niego jeszcze jedna chmura, czarniejsza od poprzedniej. Chociaż nie... nie szła.

Stiała. Nigdy tu nie był, ale natychmiast rozpoznał to miejsce znane mu z licznych fotografii i opowiadań: to były Czarne Pacholki. Jedną z zagadek Pollioli — ogromny fragment masywu górskiego, bez żadnego widocznego celu cały pokryty stopniami, stożkami, piramidami, gdzie skały obtopione zostały i zmetamorfizowane w zupełnie niedostępny dla ludzi sposób. Do tej czarnej grzędy było zupełnie niedaleko, znajdowała się ona w odległości dwustu metrów i Henryk bez wahania skoczył w dół, w mętnową, dochodzącą do liści wodę. Prąd porwał go, porciósł od jednego pnia do drugiego; oszczędzał siły, więc nie opierał się zbyt. Dwa czy trzy niewielkie wiry zapewniły mu kilka nieprzyjemnych minut, gdyż trzeba było nurkować w nieprzezroczystej wodzie. Już zaczynał obawiać się najgorszego, tego że zgubił kierunek i teraz płynie w głąb wodnego labiryntu, kiedy nagle czarna bariera wyrosła przed nim bazaltowa ściana. Gdyby nie deszcz, który spowodował przybór wody, ściana ta stałaby się przeszkodą prawie nie do pokonania. Teraz natomiast przepłynął kawaleczek wzdłuż niej, szukając miejsca, w którym biegła prawie na równi z wodą i w końcu wypłynął na brzeg. Dopiero tu zrozumiał, że nie jest w stanie posunąć się ani o krok do przodu. Nawet na czworakach. Leżał twarzą w dół, a przed jego oczyma błyszczała wilgotna polerowana powierzchnia czarnego kamienia. Dopóki nie ma słońca, pozwoli sobie na kilka minut snu, a przez ten czas nadleci śmigłowiec. Namacal na pasie włącznik autopelengu. Kontakt. Jeszcze tylko czterdzieści minut i będzie po wszystkim.

Wolno zamknął oczy, ale ciemności zapadły, zanim jeszcze zdążył zamknąć powieki. Sen to był czy też wspomnienie? Z pewnością sen, dlatego, że na przemian czuł się jak Henryk Kalwarski, to jak postronny obserwator, a także zaczynał nagle słyszeć myśli własnej żony, co nie zdarzało mu się nigdy, podczas całego wspólnego ich życia. Senny majak cofnął go wstecz, w chłód wczorajszej nocy. Południowe gwiazdy migotały w ledwie widocznych oknach. Gerda jak rozgniewane sennie przywidzenie spacerowała po ich szerokim — pięć na pięć metrów — łóżku, a jemu we śnie potwornie chciało się spać, ale z góry z ciemności, niczym drobne szyszki spływały na niego chłodne i głośnie słowa Gerdy.

— Zostaw nas w spokoju — prosił — zostaw w spokoju mnie i tego nieszczęsnego bawracza. Mnie nie zdopingujesz do naruszenia pazurka, ale przecież Eri może nie zaważać się. Te twoje żądne krwi spożyczenia skierowane na miejscowe kopytne, twoje sztuczki z żabim mlekiem, to łapczywe pożeranie przez ciebie surowych parówek... Czyżbyś rzeczywiście zamierzała doprowadzić go na myśl o świeżym befsztyku?

— Cóż to za trywialność — naprowadzać kogós na myśl! Gdybym chciała (a rzeczywiście chciała), aby on (i tylko on) dostarczył mi świeżego mięsa (i niczego innego) to powiedziałabym mu: idź ustrzel bodule i upiecz mi ją na rożnie.

— I on ustrzeli ją i upiecz?

— I on ustrzeli ją i upiecz.

— I pod opieką takiego kłusownika pozostaje moja żona, kiedy wyjeżdżam na Kapelle!

— Czas zwrócić ci uwagę na to, że zbyt często to robiłeś, carze i bogu kołyszących się, nie ustalonych sejmicznie planet. Zbyt często dla dowolnego kłusownika, każdego, tylko nie Eri.

— I jego boskiej, niedostępnej, nietykalnej Gerdy.

— I jego boskiej — tak, niedostępnej — tak, nietykalnej Gerdy.

— Nie sądzisz, że leśne echo, które zaiegło się w naszym pokoju bardziej harmonizowałyby z gwiazdami półkuli północnej?

— Jaka szkoda, że zamówiliśmy południowe gwiazdy!

I wtedy usłyszał nie jej słowa, lecz myśli. Jaka szkoda powtarzała, jaka szkoda... Na razie wszystko stracone. Ona rzeczywiście nie próbowała naprowadzić Eristaw na myśl o polowaniu — bo i po co? Ona polowała sama. Ale jej polowanie, tu, na Pollioli, jak na razie nie zakończyło się sukcesem. Ona zastawiała potrzask, potrzask z własnego kaprysu i ostrożnie zaganiała doń Henryka. Powinieniem był poddać się, załamać, w końcu po prostu machnąć na wszystkie ręka. Powinien był po raz pierwszy w przeciągu swego życia podporządkować się jej woli, ale od tej pory przez resztę ich wspólnego życia nie pozwoliłaby mu zapomnieć tej chwili podporządkowania.

Tymczasem zwierzyna wymykała się i Gerda ogarniała wściekłość:

— Dobrze! Więcej nie poproszę cię o nic — nawet o taki drobniak, jak jeden ranek prawdziwie królewskiego polowania. Nie to nie! Teraz interesuje mnie po prostu to, jak wszechpotężne jest w tobie niewolnicze poszanowanie reguł i paragrafów, tpey opór przeciw poświęceniu dla mnie chociażby czegokolwiek — nie tej twojej droczonej Kapelle, bo po co — chociażby na pół zdechłego koziołka, nie unikalnego, nie takiego, jakich tu dziesiątki tysięcy. Koziołka absolutnie nie wpływającego na ekologiczną równowagę Pollioli. Interesuje mnie to. Dlaczego, ty, mój maż, nie chcesz spełnić mego maleńkiego kaprysu — tak, kaprysu. A Eristaw! byłby w stanie, chociaż o ile pamiętam, nie pozwalał mi nawet dotknąć brzegu swego płaszczka.

— Dlatego, że oznaczałoby to naruszenia praw.

— Przecież wszyscy je tu naruszali, co to, nie domyślasz się? Wszyscy, którzy dopisywali na naszym pergaminie: „Nie poluj!” Jak myślisz, dlaczego? Dlatego, że, mimo całej swej afekcyjności, miejscowe stworzenia są oczywiście absolutnie niejadalne. Domyśliłam się tego dawno i jak widział, nie marzę o befsztyku...

C.D.N.

Przekład: MICHAŁ SIWIEC

NR 18 (1414), XXVIII, 4 MAJA 1985 R.



— Piękne słówka — wtrącił Drabik. Patrzył w podłogę. — Ale powiedz to ludziom. Bo trzeba przecież zrozumieć, że teraz każdy myśli o jednym. Narozrabialiśmy. Głośno tego, nie powie, będzie krzyżał, że trzeba aż do końca chociaż nie wie jaki to będzie koniec. Ale w duszy rozumie, narozrabiał. I boi się, co będzie potem, kiedy to wszystko się skończy, a on pójdzie do domu, zostanie sam jak palec, który łatwo złamać. A wszystkie palce razem to pięść. I co? Tylko wtedy będzie dobrze, jak ludzie otrzymają gwarancję. Milicja nie może nikogo zamykać tylko dlatego, że strajkował. Inaczej, nie się nie uda, sekretarzowi.

To były te słowa, na które wszyscy czekali. Może nie potrafiliby powiedzieć tego tak otwarcie, ale jeśli nawet nie zdawali sobie dotąd sprawy, że to właśnie ta struna dźwięczy w nich nieustannie, choć tak cichutko jakby ją tylko wiatr potrafił, to teraz pojeśli, że Drabik rzucił na stół prawdę, jak kawał chleba: macie, gryście, polamcie sobie zęby, albo niech wam pójdzie na zdrowie.

Gryń poderwał się ze swej skrzynki, przez chwilę łapał oddech jak po szybkim biegu. Wójcik dostrzegł go, powiedział:

— Głos ma towarzyszu Gryń, słuchamy.

— Powiem wam, towarzysze, jak na świętej epowieści...

— Tu nie kościół, Gryń, to sprawy poważne! Ni to drwiące, ni to poważne zdanko przekreśliło w nim coś, przyhamowało. Spojrzył w głaz pokoju. Wszyscy wlepili w niego oczy z uwagą — i Drabik-jakaś, i Surecki, i Górski, którego łysy łeb wcale nie świecił, i inni młodzi, starzy, i tacy w połowie drogi.

— Przerwali mi — powiedział w stronę sekretarza, jakby chciał się usprawiedliwić. — Ale i tak powiem, nie spietracie mnie, cwaniacy...

— Może! — Wójcik uderzył ręką w biurko — Niech nikt nie przerywał!

— No więc tak. Nie trzeba załogi dzielić. I gdyby nawet ktoś tego chciał, nie pozwolimy. To po pierwsze... A po drugie... — Rozejrzawszy się, poszukał oczu Sureckiego. — A po drugie, to chciałbym się zapytać, Surecki, gdzie byłeś, jak to się tu działo? W domu czy w stoczni?

— W stoczni. Jak wszyscy... — odparł.

— No właśnie. I ja też. I większość partyjnych. To gdzie się teraz podzielimy? A jeśli Wójcik każe nam wyjść za bramę. Jak spojrzymy ludziami w oczy? Dość, że sami z sobą będziemy musieli pogadać, zważyć w sobie, ile było w nas złości, a ile rozumu.

— Mów, mów — poparł go Drabik. — Niech widzą...

— No, a po trzecie, to chciałbym was zapytać, kto jest za to podwyżką cen? Bo ja nie. Nie wolno z ludzi robić baranów, walić przez łeb, kiedy tego nie widzą i nie nie wiedzą o niebezpieczeństwie. Ja wam wierzę, towarzyszu Wójcik, znam was, to jasne. Ale przecież jak mam zawierzyć tym, co to zrobili, a teraz siedzą dalej za tym samym biurkiem? To może ich zapytajmy, co mają zamiar zrobić? Niech się Warszawa wypowie, niech nam tu kogoś przysła, albo powiedzą przez radio, że nikomu włos z głowy nie spadnie. I niech cofną podwyżki albo chociaż zmniejszą. Niech dodadzą nam forsę na wyrównania. Nie wiem, nie wiem... — zdenerwował się, gdyż nie umiał znaleźć odpowiednich słów, a myśli zawirowała w nim nagłe: był głodny; niewesoły to los, radzić tu, być partyjnym, rozwikływać ten supeł z tysiącami neli.

— Przekażę wasze uwagi. Popieram i rozumiem. W tym coś jest, i Drabik, i ty Gryń, dotknęliście najważniejszego. Idzie o poczucie bezpieczeństwa, o rodzaj politycznej amnestii...

— To nie dla nas! To my im możemy dać tę amnestię, jeśli już o to idzie. Ale czy zaszli?

Nie wiadomo, kto to powiedział. Może Drabik, może sam Gryń, albo ktoś całkiem inny: nawet nie oglądali się, tak ich uderzyła prawda tej myśli i właściwie przynajmniej do ziemi. Bo, rzecz w tym, że stało się coś tak ważnego, tak nieodwracalnego, że nikt nie może już liczyć na to, iż wszystko pozostanie bez zmian — i sami ludzie, i to co w ludziach, sposób rządzenia i to, jak będzie się żyć. Nic już nie może zostać po dawnemu. Inaczej i przedzie wszystko się rozwali. Więc jak to właściwie będzie? Lepiej, gorzej, doprawdy inaczej?

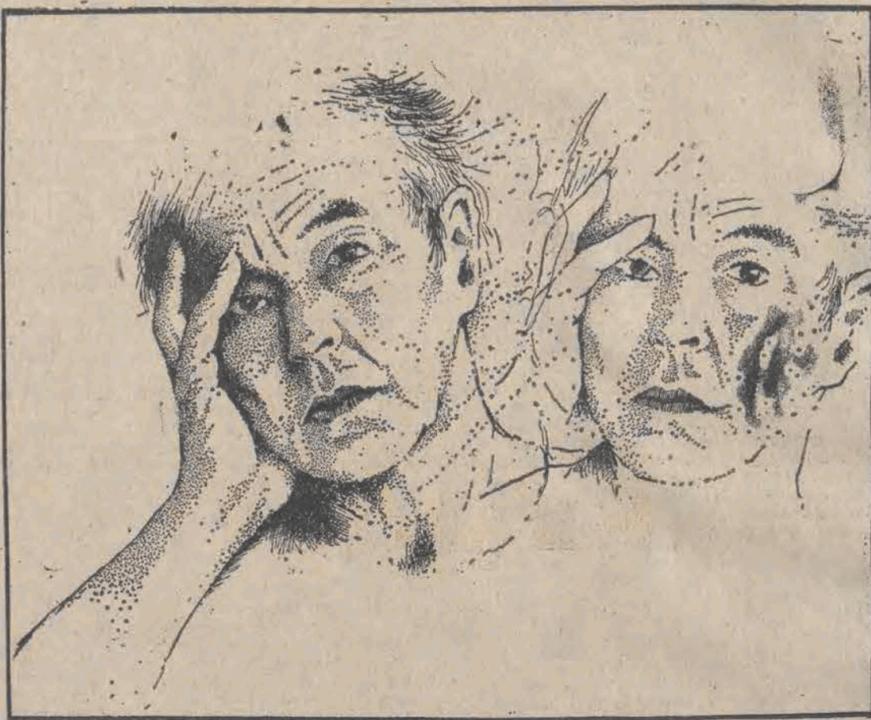
## Co z Gomulką?

— Co z Gomulką? — zapytał milczący dotąd Karabasz, księgowy z dyrekcji. Popatrzył przez okulary w metalowej oprawie, poprawił nerwowo muszkę w koszu; właściwie tak, nosił muszkę zamiast krawatu, starszy pan, jakby z innego czasu. — I co z Jaszczukiem? Doloża nam jeszcze raz, czy wykreca się samokrytyka?

Znów ktoś powiedział to co czuli i o czym wszyscy myśleli.

Tym razem milczeli dłużej. Bo to była główna sprawa: czy możliwe jest pogodzenie wody z ogniem? Czy da się tak skłócić rozbitą dzban, żeby nie było śladu, mleko nie wyciekło po kropki, a on stałby dalej, jakby nic się nie stało?

— Mówicie, sekretarzu — dodał Karabasz — mówicie, że trzeba strajk przerwać. Zgoda. Ale Drabik wyjaśnił w czym rzecz. Chcicie słuszenie, aby powrócił porządek i praca. Też racja. Ale jak to zrobić? Na to trzeba czasu i czegoś więcej, niż nasza dobra wola. To Gryń zapytał, kto poparłby taką podwyżkę. Zgadzą się z nim. Nikt. Nawet wy, towarzyszu Wójcik. Nie mówcie, nie trzeba, to przecież jasne. Ale gdyby nawet przekonał mnie ktoś, że to było i jest konieczne, jak teraz o tym powiedzieć tym tam, co śpi na betonie, czekają nie wiadomo na co? Bo to musiałoby znaczyć, że wszystko,



Kys. Janusz Szymański-Glanc

co zrobili nie miało żadnego sensu, a co gorsza, że nie ma żadnego znaczenia. Ja się tego nie podejmuję. I wam nie radzę.

Gryń patrzył w skupieniu na Karabasz. Szczupła twarz, zazwyczaj ogolona na gładko, porośnięta była siewą szczecina. Metal z oprawki okularów polyskiwał tak jak zawsze, ale muszka wisiła mu krzywo pod grydką, wyglądał niechlujnie. Usta mu drgały, jakby jeszcze kończył jakieś zdanie, którego nie zdążył wypowiedzieć, więc szepce je do siebie, bo co masz z nim zrobić — ani go wypowiedzieć, ani pokonać z powrotem. Śmieszny był ten księgowy, śmieszny i przejęty. I nawet nie taki strachliwy, na jakiego wygląda — zdziwił się z uznaniem. — Nieźle myśli, też stary...

— Mówisz, że się nie podejmiesz — Surecki wymachiwał ręką to w górę, to w dół, w taki sposób słów. — I tak będziesz musiał Bo kto? Jak Gomulka zostanie, i jak przyjdzie ktoś drugi! Taki twój los, bracie, będziesz gadał, będziesz — nie dał sobie przerwać, gdy księgowy podniósł się, jakby go ktoś szpilką ukłuł w zadek. — I nawet obliczyć, co trzeba!

— Sekretarzu! Dlaczego on mnie obraża?

— Uspokójcie się, towarzysze!

— Nie obrażam go i nie mam zamiaru. Bo mówię to i o sobie. Nie rzucimy, bracie, roboty, bo z czego żyć? Trzeba będzie przygłąd karku, spokornieć. A i rozum nakazuje, żeby nie czekać, przyspieszyć, ile się da, powrót do roboty. Każdy dzień to strata dla stoczni i dla nas, bo nie mamy zarobku.

— Niech nam rząd zapłaci! — zdenerwował się Drabik. — Spieprzył sprawy, to niechaj płaci!

— Można. Ale to będzie strata dla wszystkich. Zapłacić za nic? Czemu nie? Ale widziałeś chyba, że popallli i rozrabiali sklepy, dom partii poszedł z dymem, szlag trafił samochody, i ludzie zginęli. Z tej i tamtej strony. Kto wyżywi ich rodziny? I tak w końcu my. No więc, mówmy ludziom, że czas najwyższy wrócić do roboty!

— Jak zlikwidują marnotrawstwo na samych tylko budowach — wtrącił księgowy — to nie tylko wystarczy na wszystko, ale i jeszcze zostanie dla przyszłych pokoleń!

— A ty spróbuj to zrobić u nas. Sam wiesz, ile tu idzie blachy na złom, albo ile gdzieś tam gnije dobra w kacie, żeby nikt nie widział, ile butów i robotczej odzieży sprzedają na lewo!

— Jesteś partyjny. To twoja sprawa!

— Masz moje konto w biurku? Prowadzisz je? Zbierasz plach, żeby rzucić mi w oczy?

— Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie... — warczał Karabasz.

— Dostę tego! Sprawy prywatne na później. Teraz trzeba decydować i to wszystko, bo czas marnujemy!

Wójcik stał nad biurkiem, wsparty pięściąmi o blat, pochylony do przodu, jakby chciał uderzyć głową w tę przedziwną, zaciemnioną a przejrzytą, odbierającą dech bryłę powietrza, które zesztywniało jak lód pod wpływem tej kłótni, sporu czy pojedynku. Uderzyć ibem i rozbić w pył, albo lec martwy, niechaj to diabeł biora!

— Pamiętajcie, co mówił premier? Możecie przeczytać w gazecie — walnął pięścią w stół — że ma być porządek, że trzeba, aby partyjni w tym pomogli i że władza użyje wszelkich środków. Rozumiecie? Wszelkich! Nie wolno do tego dopuścić, musimy więc w interesie załogi przekonać ją, że trzeba strajk zakończyć. Trzeba zakończyć ten strajk.

Gryń nie słuchał telewizji ani radia, nie czytał gazet. Ale Wójcik wie, co mówi. Wszystkie środki — przeżuwał te słowa. Wczoraj były już wszystkie środki. Wiedział, jak to smakuje.

— Nie strasz — księgowemu zmienił się głos był teraz wysoki i oiskliwy. — Co jest, do diabła! To nie my, a oni! Muszą ustąpić! Inaczej być nie może! Nie wiem, jak to ci się

stanie, ale niechciecie się jak najszybciej! Pograżyli kraj w ogniu, muszą ustąpić! Muszą, rozumiecie? Muszą!

Nikt go nie poparł. Nikt mu też nie zaprzeczył. Karabasz zaśliniony, spieniony, wydawał się śmieszny, ale przecież mówił ważne, a może nawet straszne rzeczy. Nie ma racji? Ma rację, niech to licha, może już nawet coś wie, stary wyga...

Wójcik milczał również. Powinien zareagować, nie wolno mu zostawić tej sprawy, jakby jej nie było. Lecz przecież czuł, że stanie się tak, jak powiedział Karabasz. Niemożliwe, aby Wybrzeże uspokoiło się na wezwanie Jaszczuki, premiera czy Gomulki. Nie usłuchają ludzie, poleje się krew, za stoczniościami pójdzie Łódź, Wrocław, Kraków, Warszawa. To zbyt wysoka cena, aby kłokolwiek miał prawo ją zaryzykować. Ktoś musi więc tam u góry podjąć decyzję i działać, szybko działać, dopóki jeszcze jest czas i taka możliwość. Rozumiał, że Karabasz się nie myli, ale powiedział:

— Te sprawy rozstrzygnie Biuro Polityczne, albo Komitet Centralny. Nie nasza to kompetencja. Będziemy czekać na decyzję. Ale musimy robić to, co do nas należy. Zgromadzić partyjnych, uspokoić załogę, bo będzie za późno. To nasza stocznia, nasze miasto, nasze państwo. Nie wolno tego zburzyć.

Drabik, który niedługo siedział cicho, wystawił znow swą łysą pałę, stanął w blasku, który bił z okna. Dopiero teraz zauważyli wszyscy, że jest już wczesny rano, że chmury się rozstąpiły i na kilka chwil rozjaśniło się w tym pokoju.

— Ja jestem sam za zakończeniem — powiedział zacinając się, jak zwykle gdy mówił w napięciu. Ale tak było zawsze tylko, zanim się nie rozkręcił, potem szło mu już gładko. — Ale to przecież nie wszystko. Kto to wie, ilu partyjnych jest w mniejszych we wszystkich i tam pod KW, i na Małopolskiej, a może i na Potulickiej.

— Rozliczać chciesz Lysoniu? — Wrzasnął rozwścieczony Edek Gryń. Stary swoim paluchem ruszał przeciw beczelnie w te i wewte w jego otwartę, obolatej ranie.

— A pewnie!

— Prokurator!

— Niepotrzebnie mnie obrażasz — powiedział z powagą Drabik. — To nie jest mało, gdy ktoś ma legitymację, a zamiast być z nami, robił tam coś, bez potrzeby.

— Uspokój się — nieoczekiwanie i Surecki jakby zmienił front. — To sprawa poważna. To każdy musi rozważyć w swoim sumieniu. Nawet jak nikt go nie zapyta, bracie...

— Dobra, dobra — mruknął. Niepotrzebnie się wyrwał.

— No więc tacy, jak ci tam, co mówię — ciągnął Drabik — powinni chociaż teraz naprawić, co zepsuli. Tylko jak im to powiedzieć?

Wójcik pokręcił głową, nie podzielał jego zdania.

— Za co tu ludzi rozliczać? — zapytał. — A kto wie, co w kim się działo, w jakie to wiry wpadł? To nie szachy, bracie, ani gra w zachyca. Wiesz, co to jest tłum? No i solidarność człowieka! Jak idzie twój przyjaciel albo twemu koleźce dzieje się krzywda... To ogień, emocje, nie rozum! No co tam, trzeba zamknąć ten rozdział, towarzysze. Pamiętajcie, tu i tam robotnicy, każdy z nas wśród innych, takich samych jak on. No więc co? Rozliczać?

Gryń z całego serca godził się z Wójkiem. Może najlepiej z nich wiedział, że sekretarz miał słusność. Jeśli nawet był tam, krzyczał jak imni, tyle że nie zrobił oświadczenia nie takiego, co obciążałoby mu sumienie, to przecież nie miał takiego zamiaru, żeby szumieć, chciał tylko wiedzieć, być przy tym. A krew nie woda. No i macie. Jak o tym opowiadać jak wyjaśniać, aby Surecki zrozumiał i Drabik, taki zdawałoby się równy facet! Każdy człowiek

to poważna sprawa. Już lepiej było, jak wspominał o sumieniu. Sumienie partyjne czy bezpartyjne, ludzkie sumienie, to najważniejsza rzecz. Trzeba mieć sumienie. Ale czy wszyscy je mają — pomyślał, nie bardzo wiedząc, czy do takich właśnie ludzi zaliczyłby nawet Sureckiego, nie czyniąc mu krzywdy?

— Ale ta legitymacja w kieszeni, to przecież coś znaczy — ciągnął dalej Wójcik. — Partyjni też strajkują, mamy takich i w komitecie strajkowym, w wydziałowym. Z tymi trzeba rozmawiać. I postawić jasno: albo wóz albo przewóz. Właśnie teraz już na to pora.

— Odradzam, sekretarzu — powtórzył jak automat księgowy Karabasz. — Lepiej nie stawać sprawy na ostrzu noża.

— Co więc trzeba zrobić, waszym zdaniem? — Zaczekać. Niech wszystko wyjaśni się tam — podniósł palec do góry i trzymał dość długo, aby wszyscy go dobrze pojeśli.

— Dlaczego? Postawić gorze warunki i wtedy można zamknąć sklepek. Chyba już czas — powiedział Drabik. — Twardo, jasno, przekazać gdzie trzeba. A naszych zobowiązań: kto jak może i potrafi niech stara się przekonywać. Bo to się jednak wreszcie powinno zakończyć.

— Komitet strajkowy prowadzi rozmowy na Watach Chrobrego — przecieł o tym wiecie, głośniaki nie milkną ani na chwilę — Surecki pocierał ułonią brodę dla zyskania czasu, by znaleźć umykające mu słowa. — Może zaczekać, aż skończy? A może tych partyjnych w kierownictwie strajkowym przynaglić, żeby usuwali przeszkody? Co sprawiedliwe i ważne, tego bronieć, ale nie przyciągać struny, nie rzucać kłód pod nogi. I powstrzymać tych, co chcieliby rozrabiać. Niech pokażą swój rozum.

— To chyba słuszne — sekretarz kiwał głową. — Tak trzeba. No więc każdy tu obecny wie, co robić. Nie zwlekajcie. Każdy na swój wydział. A ja pójdę do komitetu strajkowego. Wóz albo przewóz.

Mężczyzna podniósł się z krzesła, zeskakiwał ze stołu, prostował kości. Nieśpiesznie, jeden po drugim, znikali w drzwiach. Gryń nie podniósł się ze swej skrzyni. Nie bardzo mu się chciało iść do rurowni: przecieł ktoś z nich musiał go widzieć na Placu Żołnierza, może i gdzie indziej. Jakże to tak: wczoraj był tam, a dzisiaj namawia... Wezmą za kogoś, kim przecieł nie był... Poczuli, że kark zaczyna go palić. Westchnął.

— A wy, towarzyszu Gryń? — zapytał Wójcik.

— Tylko chwileczkę — poprosił. Wstał. Patrzył na czubki swych butów. — Czy nie mógłbym pójść z wami? Tam może być gorąco.

— Nie kręć, stary. W czym rzecz?

Gryń, jakając się, opowiedział wszystko. Sekretarz obserwował go spod przymrużonych powiek.

— Wziew tak się sprawy mają — powiedział. — Rozumiem. Nie pochwalam, ale pojmuję. Każdy z nas dźwiga swój los. Trudno.

Ta powaga tonu jego słowa przynajmniej Grynia. Nie wierzy mi — pomyślał z gorzocą. — Nikt mi nie wierzy, kurczę blade, jeśli nawet on, a mówię prawdę, jak na spowiedzi! Jestem tylko zwykłym robotem!

— No to jak, na wydział do rurowni, czy z nami? — zapytał.

— Idziemy — odparł Wójcik i pierwszy ruszył ku drzwiom.

Był piątek. O dzień później, o dzień dalej i strasznie — myślał Edek, krocząc za sekretarzem. — A każdy taki dzień, jak te, to jakby rok życia...

Na korytarzu przed drzwiami, do których Wójcik sięgnął już dłonią, powstrzymał go młodzik w białym hełmie.

— Dokąd? Nie wolno!

— Chce rozmawiać z przewodniczącym — rzekł krótko.

— Każdy by chciał — odparł beczelnie szczeniak. Gryń przestąpił z nogi na nogę.

— Idcie, powiedzcie, że sekretarz komitetu partyjnego stoczni przyszedł — wtrącił się nerwowo.

— Przecież widzę — uśmiechnął się strażnik. Poprawił pas na kufajce, obciągnął kurtkę. Po wojsku — pomyślał Edek.

— No więc? — zapytał Wójcik, patrząc mu prosto w oczy.

— Jakby to powiedzieć, on śpi, ledwie może godzinę. To też człowiek, no nie?

— Decyduj się — Gryń nie zwracał uwagi na to, że wokół nich zaczęła się zbierać gromadka takich jak ten, również w hełmach i pasach, niektórzy z pałkami wetkniętymi za pazucho, trzymanymi w dłoniach, lub zatkniętymi za ramię.

— Kurwał Czego się tu placacie! — wrzasnął któryś, odważny bo skryty za plecami kolegów. — Powiedzieli — śpi, to znaczy że śpi!

— Nie wtrącaj się — młody chłopak snod drzwi wyciągnął rękę. — Jestem na służbie. To ja decyduję.

Odwrócił się i otworzył pokój.

— Można? Towarzysz sekretarz przyszedł — powiedział głośno.

— Wprowadź, na co czekasz? — usłyszeli głos przewodniczącego. Stał na środku pokoju mrugając oczyma. Wyciągnął rękę.

— Witam. Co sprowadza towarzysza sekretarza?

— Ważne sprawy — odparł Wójcik. — Zostałmy sami.

— Czemu nie — Baduga skinał głową strażnikowi. — Zamykał drzwi, słyszysz? I niech mi nie przeszkadza!

— Siadajmy — zaprosił gospodarz. — I słucham. Wójcik załał krzesło. Gryń stał nadal, kiwnął przecząco głową. Badudze, był tak zmęczony, że mógłby zasnąć siedząc.